

Afryka południowa i wschodnia 2005

Poniżej znajduje się relacja z podróży Magdy i Przemka (plecakowicz@gmail.com) na trasie RPA-Lesotho-Swaziland-Zimbabwe-Zambia-Tanzania-Kenia-Etiopia. Jeżeli ktoś jest zainteresowany zdjęciami z tej wyprawy to zapraszam na <http://plecakowicz.pl/foto>.

02.08.2005, wtorek, Wrocław->Frankfurt->Cape Town

Dwa lata temu Ameryka Łacińska, rok temu Azja. Teraz czas na Afrykę. Lecimy po południu z Wrocławia do Frankfurtu. Przelot trwa mniej niż 2h i odbywa się małym samolotem na około 50 osób (ATR 72). Następnie mamy ponad 3h czekania w strefie bezcłowej na samolot relacji Frankfurt->Cape Town (Kapsztad). Dla zabicia czasu, na lotnisku przeglądamy przewodniki Lonely Planet z całego świata. Zawsze może się coś przydać do następnych wycieczek. Z Frankfurtu mamy nocny lot do Cape Town, który trwa prawie 12h. Nocny lot mija zwykle szybciej, ponieważ łatwiej jest zasnąć. Najważniejsza rzecz, która rzuca nam się w oczy: nie ma żadnego Murzyna w samolocie, a przecież lecimy do Afryki.

03.08.2005, środa, Cape Town

Rozpoczyna się nasz pierwszy dzień w Afryce. Nie musimy przestawiać zegarków (także biologicznych), ponieważ czas jest dokładnie ten sam co w Polsce. Wymieniamy na lotnisku trochę pieniędzy i szukamy transportu do centrum. Okazuje się, że najtańszy jest shuttle (minibus), który kosztuje równowartość 9\$ od osoby. Targujemy się do 6\$/os. ale i tak uważamy, że to za dużo. Wychodzimy przed lotnisko i próbujemy złapać stopa. Zatrzymuje się Rick, biały obywatel RPA, który oferuje, że nas podwiezie do centrum za darmo. Jedziemy jego 30-letnim, rozklekotanym samochodem, który nie ma lusterek. Rick ostrzega nas, że jeżdżenie autostopem w RPA jest niebezpieczne. W RPA ruch jest lewostronny (i będzie tak aż do Kenii, dopiero w Etiopii jest inaczej), ale po Tajlandii i Malezji to dla nas normalka. W centrum Cape Town (Long Street, gdzie jest dużo interesujących, kolonialnych domów) szukamy noclegu. Okazuje się, że najtańszy nocleg kosztuje około 10\$/os. (w dormie - dużym, wspólnym pokoju). Na internecie i w przewodniku ceny były dwa razy niższe, więc nie jesteśmy zadowoleni. Dostajemy także darmowy przewodnik po hotelach w RPA „Coast to coast” (C2C). Później okaże się, że w całym RPA będziemy płacić nie mniej niż 10\$/os. za nocleg a to tylko dzięki przewodnikowi C2C. Jednak wszystkie hostele dla turystów z plecakami mają kuchnie, z której można korzystać. Dzięki temu zaoszczędzimy na jedzeniu, bo będziemy sobie sami robić jedzenie.

Tego samego dnia postanawiamy jeszcze wejść na Górę Stołową (Table Mountain), z której rozciąga się panorama na całe miasto. Idziemy na pieszo spod hotelu. Na górę można wejść asfaltową drogą, która jest jednak dosyć stroma. Dochodzimy pod Górę Stołową, do miejsca, w którym widać przed nami panoramę miasta a za nami jest Góra Stołowa. Słońce już zachodzi, więc musimy wracać. W słońcu jest tu około 20 stopni, ale po zachodzie (lub nawet w cieniu) temperatura jest dużo niższa (może spaść do kilku stopni). W Polsce nie ma nigdy takiej dużej różnicy temperatur między dniem a nocą. Wiemy już dlaczego ludzie chodzą tu w kożuchach i rękawiczkach. W końcu jest tu zima. Pomimo tego, że mamy grube rzeczy marzniemy wieczorem.

04.08.2005, czwartek, Cape Town->Cape of Good Hope->Cape Town (km 150)

W okolicach Cape Town zwiedza się głównie Przylądek Dobrej Nadziei (Cape of Good Hope) i winnice. Jednak cena ponad 50\$/os. za jednodniową wycieczkę na przylądek nam nie odpowiada, więc rano udajemy się do informacji turystycznej. Doradzają nam wynająć samochód, lub pojechać pociągiem do Simonstown, skąd minibusy Rikki's jadą na przylądek. Wybieramy drugi wariant i jedziemy pociągiem. Pociąg jest strasznie wolny, zatrzymuje się na wielu stacjach, dlatego

dojeżdżamy na miejsce po 1,5h. Jednak po drodze mamy super widoki, bo pociąg czasami jedzie brzegiem oceanu, wzdłuż wybrzeża. W Simonstown czekają na turystów minibusy Rikki's (na przykład jest kilkadziesiąt kilometrów). Jedziemy z turystami z Nigerii na Cape of Good Hope, Cape Point (latarnia morska i punkt widokowy) i Boulders Beach (plaża z pingwinami). Po drodze oglądamy także plaże zamieszkałą przez małpy i kilka strusi. Później wracamy pociągiem do Cape Town. Cała wycieczka kosztuje nas około 1/3 ceny zorganizowanej wycieczki. Jedyne problemy, że w pociągach jest mało ludzi a na peronach dużo policji, co sugeruje, że nie jest to zbyt bezpieczny środek transportu, szczególnie dla białych.

W przewodniku jest napisane, że 25% kraju zamieszkuje biali, ale w Cape Town widać jakby ich było 50%. W hostelu mieszkał z nami miejscowy turysta i według jego opinii Murzyni są leniwi, brak im zaradności, wolą kraść zamiast pracować. Może dlatego biali mieszkają w bogatych domach, w bogatych dzielnicach, odgrudzeni od innych, chronieni przez agencje ochroniarskie. Podczas gdy Murzyni mieszkają na peryferiach, w biednych dzielnicach. Jeszcze długo trzeba będzie czekać na koniec apartheidu w ludzkich umysłach.

Wieczorem wybieramy się na promenadę (Waterfront), która jest wielki, centrum handlowym z setkami sklepów i restauracji. Pomimo ostrzeżeń miejscowych jedziemy tam i z powrotem miejskim autobusem, który jest całkiem bezpieczny.

05.08.2005, piątek, Cape Town->Stellenbosch->Port Elizabeth (km 650)

Rano zabieramy plecaki i idziemy na stację kolejową, z której jedziemy pociągiem do Stellenbosch. Jest to miasto zbudowane przez Holendrów, w którym przeważają niskie, białe domki w stylu kolonialnym. Dookoła miasta znajdują się setki winnic. Jest tu bardzo miło, cicho i spokojnie. Najpierw idziemy do informacji turystycznej, w której zostawiamy plecaki i gdzie dostajemy dokładną mapkę miasta. Całe miasto zwiedzamy w ciągu 1h a później odpoczywamy na głównym placu miasta, który jest pokryty trawą. Razem z nami odpoczywają tu dziesiątki miejscowych, niektórzy nawet śpią. Miasto było bardzo ciekawe, w niczym nie podobne do zatłoczonej atmosfery Cape Town. Wieczornym autobusem jedziemy do Port Elizabeth, omijając znaczną część wybrzeża, zwaną Garden Route.

06.08.2005, sobota, Port Elizabeth->Umtata->Coffee Bay (km 1050)

Wczesnie rano jesteśmy w Port Elizabeth. Kilkanaście minut później siedzimy już w następnym autobusie (Greyhound) do Umtaty. Autobusy są tu bardzo ekskluzywne, jest steward/stewardesa, który roznosi zimne i ciepłe napoje oraz ciasteczka. Dodatkowo w telewizorze leżą filmy a na noc dostajemy koce do przykrycia (jak w samolocie). W East London mamy 30 min przystanek, w którym zmienia się kierowca i steward. Wykorzystujemy ten czas, aby pójść na plażę i zrobić kilka zdjęć. W Umtacie jesteśmy po 14:00 i czekamy na minibus, który zabierze nas do Coffee Bay. Około 16:00 wyjeżdżamy do Coffee Bay. Po drodze widzimy setki małych, okrągłych, zielonych domków, przykrytych strzechą w kształcie stożka. Bardzo ciekawe, że w tym bogatym kraju są ludzie mieszkający w tak prymitywnych warunkach. Szkoda, że ci ludzie chodzą w normalnych ubraniach, w europejskim stylu (np. dzinsy). Do Coffee Bay dojeżdżamy przed zachodem słońca. Szybko znajdujemy hotel i idziemy na spacer na plażę na zachód słońca. Oglądamy w telewizji prognozę pogody, Cape Town 15 stopni (5 w nocy), Durban (blisko Coffee Bay) 30 stopni (20 w nocy). Oba miasta są nad oceanem, tylko że pierwsze nad Atlantykiem a drugie nad Indyjskim. I rzeczywiście w Coffee Bay jest dużo cieplej niż w Cape Town, niezła temperatura jak na zimę :) (w telewizji reklamują filmy, które Cię rozgrzeją w te zimowe wieczory).

07.08.2005, niedziela, Coffee Bay->Umtata->Kokstad (km 1350)

Wczoraj postanowiliśmy wstać na wschód słońca (przed 6:00). Idziemy na plażę zrobić zdjęcia. Było warto, bo wschód słońca był przepiękny. Mamy czas do 12:00, kiedy to wyjeżdża minibus do Umtaty. Myśleliśmy też o pójściu do Hole in the Wall (czyli „dziura w skale”, ciekawa skała

uformowana przez wodę), ale jest daleko a na zdjęciach nie wygląda tak super jak sobie ją wyobrażaliśmy. Idziemy do sąsiednich wiosek, gdzie ludzie mieszkają w tych zielonych, prymitywnych chatkach. Chodzimy po pagórkach przyglądając się życiu tubylców. Zostajemy zaproszeni do jednej z chatek (wewnątrz bardzo mała i strasznie wilgotna). Później miejscowi próbują nam sprzedać dwie duże, świeżo złowione ryby (za 2,5\$). Około 12:00 opuszczamy Coffee Bay a już o 13:00 jesteśmy w Umtacie na stacji benzynowej Shell. Patrząc na drogę (dziury, bo boczne drogi w RPA są jak w Polsce) jechaliśmy bardzo szybko. Warto dodać, że tym razem jechaliśmy samochodem terenowym z przyczepką (nasze plecaki). Cały czas miałem wrażenie, że zgubimy przyczepkę.

Od 13:00 czekaliśmy na Greyhonda, który był najtańszy i którym tu wczoraj przyjechaliśmy. Przepuściliśmy kilka autobusów innych firm, ale do 16:00 nie przyjechał. W pobliżu stał inny autobus Greyhound, właśnie serwisowany, którego kierowca twierdził, że nasz autobus przyjedzie. Jednak po 16:00 ten sam kierowca zabrał nas samochodem, bo dowiedział się, że tego dnia (niedziela) Greyhonda nie było a zamiast niego był Megocoach. Widzieliśmy ten autobus podczas jego postoju na Shellu w Umtacie, ale skąd mogliśmy wiedzieć. Autobus odjechał około godzinę wcześniej a my zaczęliśmy go gonić samochodem. Po 80 km dogoniliśmy autobus, ale tylko dlatego, że czekał na nas kilkanaście minut. Nie wiemy, czy to kierowca był tak miły, czy to Greyhound jest tak dobrą firmą, ale się udało. Około 18:00 byliśmy w Kokstad, z którego zamierzamy udać się w Drakensberg (Góry Smocze). Później znaleźliśmy hotel i poszliśmy na zakupy. Poszliśmy także do pobliskiego kościoła, który okazał się protestancki. Akurat kończył się tam koncert chóru gospel, więc na chwilę usiedliśmy i posłuchaliśmy.

08.08.2005, poniedziałek, Kokstad->Underberg (km 1500)

Po 8:00 idziemy skorzystać z internetu i zarezerwować samochód, ponieważ stwierdziliśmy, że do dalszego podróżowania samochód jest nam niezbędny. Jest tu podobnie jak w USA, trzeba mieć samochód, żeby dotrzeć do niektórych miejsc. Dodatkowo wynajęcie samochodu jest bardzo tanie (20-30\$/dzień) i dla dwóch osób jest już tańsze niż podróżowanie autobusem, nie wspominając o zorganizowanych wycieczkach.

Dzisiaj mamy do przejechania tylko 120km. Możemy zamówić shuttle (minibusa), który regularnie jeździ tą trasą, jednak kosztuje on 25\$ od osoby. Miejscowi mówią, że można także bez problemu dojechać do Underbergu autostopem. Więc dzisiaj próbujemy dojechać autostopem. Mamy kartkę z napisem „Underberg”, ale wszyscy jadą bliżej. Po odłożeniu kartki udaje nam się znaleźć autostop do Franklin (30 km od Underbergu). Tu jest już większy problem, ponieważ przejeżdża mało samochodów a za skrzyżowaniem na autostop czeka już kilku miejscowych. Po pewnym czasie odchodzimy od miejscowych, ponieważ wydaje nam się, że sami mamy większe szanse. I okazuje się, że chwile później zatrzymuje się samochód z mężczyzną i dziewczynką, którzy na pace pick-upa mają lodówkę. Mężczyzna mówi, że widział nas w Kokstad i zastanawiał się, czy nas spotka po drodze. Dowiózł nas do Bushman's Neck, 30 km od Underbergu. Mówił także, że nie jest zbyt bezpiecznie podróżować autostopem oraz, że możemy liczyć tylko na białych. I to się sprawdziło, bo do Underbergu znowu podwiózł nas biały kierowca. Tym razem czekaliśmy 3 minuty na podwózkę, ale podróżowaliśmy na pace pick-upa. Przejechanie 120 km do Underbergu zajęło nam 5h. W Underbergu udajemy się do informacji turystycznej, gdzie dowiadujemy się, że w Sani Top Chatlets (na szczycie przełęczy) nie ma wolnych miejsc. Oznacza to, że nie przekroczyliśmy granicy z Księstwem Lesotho, ale zostaniemy na dole przełęczy w Sani Pass Lodge. Po godzinie przyjeżdża po nas właściciel Sani Pass Lodge, do którego zadzwoniła kobieta z informacji turystycznej. Kilka kilometrów za Underbergiem kończy się asfalt. Drogi w RPA są super, ale z Underbergu do Lesotho nie ma asfaltu, czyli można przejechać tylko samochodem z napędem na 4 koła. My jedziemy tylko kilkanaście kilometrów za Underberg (po połowie drogi kończy się asfalt). Kończymy dzień oglądając zachód słońca przy kominku, ponieważ jesteśmy już wysoko w górach (1560 mnpm) i jest tu dość zimno.

09.08.2005, wtorek, Underberg->Lesotho->Underberg (km 1550)

Ponieważ do Lesotho można dojechać tylko samochodem z napędem na 4 koła, więc jesteśmy zmuszeni liczyć na autostop lub kupić zorganizowaną wycieczkę. Wybieramy to drugie. Jedziemy rano z Sani Pass Lodge do granicy (1950 mnpm), która jest 16 km dalej. Po drodze zatrzymujemy się oglądać kanion oraz stado małą w górach. Jednak jest lekka mgiełka i mamy nadzieję na lepszą pogodę w drodze powrotnej. Po przekroczeniu granicy RPA/Lesotho zaczyna się stromy, kręty 8 km podjazd na szczyt przełęczy Sani (2874 mnpm). Podjazd jest naprawdę niebezpieczny, co widać po szczątkach pojazdów, które mijamy po drodze. W Lesotho odwiedzamy małą wioskę (kilka domów). Jest tu bardzo zimno i ludzie chodzą owinięci kocami. Po raz pierwszy widzimy Murzynów-górali. Zostajemy zaproszeni do jednej z chatek, w której dowiadujemy się o życiu i zwyczajach Basotho, czyli ludzi z Lesotho. W środku jest piecyk, który tworzy dużo dymu, ale nie ma komina. Jest to jeden z głównych powodów, dlaczego Basotho żyją tylko 40-50 lat. Po odwiedzeniu wioski udajemy się na Kotisepola (Czarna Góra) Pass. Według planu mieliśmy wejść tam pieszo, ale przez kiepską pogodę musimy wjechać tam samochodem. Jesteśmy na wysokości 3240 mnpm, najwyższej gdzie byliśmy do tej pory. Kto by uwierzył, że na taką wysokość można wjechać samochodem? Jemy skromny obiad w samochodzie. Gorąca herbatka z butli gazowej smakuje wyśmienicie. Wieje tu tak mocno, że może głowę urwać. Po szybkiej sesji fotograficznej wracamy w stronę przełęczy, ponieważ pogoda zaczyna się pogarszać. Po chwili wszystko jest we mgle, później jest tylko mgła i deszcz. Po drodze wступujemy do Sani Top Chatlets, który reklamuje się jako najwyższy pub w Afryce. Teraz czeka nas 800m w dół przełęczy. Dobrze, że jeszcze nie ma błota. Porannych zdjęć nie poprawimy, bo teraz nic nie widać. Ponieważ mamy jeszcze dużo czasu do zachodu słońca postanawiamy wysiąść przed Sani Pass Lodge i pójść na pieszo do Mkomazana Waterfall. Lekko kropi, ale wodospad jest całkiem fajny.

10.08.2005, środa, Underberg->Durban (km 1700)

Przez całą noc padało, więc z drogi prowadzącej do Underbergu zrobiło się błoto. Jednak nie chcemy tu stracić całego dnia, więc zabieramy się ze Szwedami z naszego hotelu (mają wypożyczonego Opla Corsę, oczywiście z napędem tylko na 2 koła). Mamy kilka kilometrów do miejsca, gdzie zaczyna się asfalt. Na szczęście teraz jest z górki, więc łatwiej przejechać. Szwed jedzie pewnie, ale wolno. Ma doświadczenie z jeżdżeniem po lodzie. Po drodze mijamy samochody, które jechały w drugą stronę, ale nie dały rady podjechać. Tylko samochody z napędem na 4 koła radzą sobie pod górę w tych warunkach. Po pewnym czasie mijają nas Francuzi, którzy także byli w tym samym hotelu. Jadą jednak za szybko i parę minut później widzimy ich zakopanych w błocie. Musimy czekać aż uprzejmy kierowca z samochodu terenowego wyciągnie Francuzów z opresji. Ten kawałek był rzeczywiście trudny do przejechania. Wychodzimy z samochodu, żeby ustalić najlepszą drogę dla naszego samochodu. Dziewczyny zostają w samochodzie. Jesteśmy cali w błocie, jednak dzięki temu udaje nam się przejechać przez wielkie błoto bez kłopotów. Wreszcie pojawia się asfalt. Był to zdecydowanie jeden z najwolniejszych przejazdów w naszym życiu.

Chcemy dostać się do Durbanu (150km od Underbergu), aby wynająć samochód. Szwedzi nie jadą do Durbanu, ale podrzucają nas do Howick. Stąd bierzemy minibusa do Pietermaritzburga, skąd bierzemy kolejnego minibusa do Durbanu. Po południu jesteśmy w Durbanie. Jechaliśmy autostradą, więc przejazd był bardzo szybki. Durban jest jednym z największych miast w RPA. Idziemy do hostelu, który jest dosyć daleko od dworca autobusowego. Następnie zwiedzamy miasto, które jest duże, gwarne. Jest tu kilka domów kolonialnych, ale dużo mniej niż w Cape Town. Miasto zapamiętamy z migdałowców, których piękny, czerwony kolor (liście) rzucał się w oczy w całym mieście.

11.08.2005, czwartek, Durban->Bergville (km 2100)

Z samego rana idziemy na promenadę (Beachfront). Surferzy wstali przed nami i wykorzystując dobre warunki (wysokie fale) już surfują. Rybacy łowią ryby a kilka osób tworzy na plaży wielkie figury z piasku. Mają oni nadzieję, że turyści docenią ich wysiłki i nagrodzą ich monetami. Jest to dla nich praca, ponieważ zaczynają oni od poprawiania wczorajszych figur, zniszczonych w dużym stopniu podczas nocy przez wodę i wiatr.

Przed południem jesteśmy w wypożyczalni samochodów (Budget). Samochód zarezerwowaliśmy sobie kilka dni temu przez internet i nic tańszego wczoraj nie udało nam się znaleźć. Przy wejściu od razu słyszymy "welcome Mr. Skibinski". Skąd oni wiedzieli, że to my? Wydaje mi się, że większość samochodów wypożyczają tu biali, zarówno miejscowi jak i turyści. Chyba musimy wyglądać na Europejczyków, chociaż z drugiej strony wiele razy mylono nas z miejscowymi.

W RPA jeździ się po lewej stronie (jak w Anglii). Nigdy nie jeździłem samochodem z kierownicą po prawej stronie, więc trzeba się nauczyć. Dodatkowo wypożyczyliśmy jeden z najtańszych samochodów (Toyota Tazz), który nie ma wspomaganie kierownicy. Prowadzenie samochodu nie jest aż takie trudne, oczywiście najtrudniejsze są początki. Największy problem nie jest ze zmianą biegów ale z kierunkowskazami, które są zamienione z wycieraczkami. Próbując włączyć kierunkowskazy włączają mi się wycieraczki :) Dobrze, że pedałów hamulca i gazu nie zamienili miejscami.

Około południa opuszczamy Durban i jedziemy do Howick, oglądać 95m wodospad. Dalej udajemy się do środkowej części Drakensbergu, a dokładnie do Giants Castle NP. Dojeżdżamy przed zachodem słońca. Widoki są rewelacyjne: dookoła góry a w dolinie jest łąka, na której pasą się konie. Następnie jedziemy do Bergville (hostel z przewodnika "Coast to coast"), w północnej części Drakensbergu.

12.08.2005, piątek, Bergville->Eshowe (km 2500)

Rano wstajemy i jedziemy do Royal Natal Park (nazwany na cześć królowej angielskiej, która odwiedziła ten park). Dzisiaj cały dzień spędzimy w górach. Mamy do wyboru kilkanaście ścieżek od 2h do 14h. Wybieramy trasę na 5h, która się bardzo ciekawie zapowiada. Szczególnie interesuje nas punkt widokowy na Amphiteatre, który jest tu najslawniejszą górą. Na początku trasa jest łatwa, po drodze oglądamy Tiger Falls. Jednak po dwóch godzinach zaczyna się prawie pionowe podejście pod The Crack. Trzeba wchodzić po skałach, czasami po łańcuchach lub drabinkach. Tras wspinaczkowych jest tak dużo, że trudno spotkać innych turystów. Do tej pory spotkaliśmy tylko dwóch. Męczącej wspinaczka na The Crack kończy się wspaniałym punktem widokowym na Drakensberg i na Amphiteatre. Jest tu bardzo zimno z powodu wysokości i wiatru. Dodatkowo okazuje się, że jesteśmy na górze, dookoła której są same pionowe podejścia. Zastanawiamy się jak zejdziemy z tej góry. Szlak prowadzi nas do zejścia, które znowu jest pionowe (z łańcuchami i drabinkami). Schodzimy bardzo ostrożnie, bo jest ślisko. Spotykamy następnym turystów, którym radzimy, aby się pospieszyli, bo przed nimi długa droga a w zimie dzień jest krótki. Pod wieczór wyjeżdżamy z Royal Natal Park i kierujemy się do stolicy Zululandu (buszmenów), czyli Eshowe.

13.08.2005, sobota, Eshowe->St Lucia (km 2750)

Hostel, w którym spaliśmy, organizuje różne wycieczki. Dzisiaj jest wycieczka do prawdziwej wioski Zulusów na ślub (odbywa się raz na tydzień). Chcemy się dowiedzieć czy jest warto wydać 50\$/os. za to wydarzenie, ale organizatorzy nie za bardzo próbują nas przekonać. Nie to nie. Blisko Eshowe jest Shakaland, wioska zbudowana na potrzeby filmu „Shakazulu” (król Zulusów), która pełni teraz rolę atrakcji turystycznej. Za 30\$/os. wstępu można zwiedzić wioskę, pooglądać tańce Zulusów i zjeść obiad. Więc jedziemy do Shakalandu. O 12:00 przychodzi przewodnik, który zaczyna oprowadzać nas i kilkunastu innych turystów po Shakalandzie. Na początku oglądamy skróconą wersję filmu „Shakazulu”. Shakazulu był sławnym wojownikiem, który zrewolucjonizował styl walki Zulusów. Pod jego przywództwem Zulusi pokonali Anglików, którzy

byli uzbrojeni w strzelby. Zulusi byli wojownikami i Basotho musieli przed nimi uciec do Lesotho, gdzie żyją do dziś. Po filmie dowiadujemy się jak żyli Zulusi i na jakich zasadach zbudowana jest Zuluska wioska. Domki (drewniane chatki) stoją na planie okręgu. Największy dom, w centralnym miejscu wioski ma babcia (matka mężczyzny), po prawej stronie jest najmniejszy dom - mężczyzny oraz domki jego synów. Po lewej stronie są domki kobiet. Każda żona ma średni domek, ponieważ dzieci do czasu, kiedy nie podrosną, wychowują się z kobietami. Dalej są domki córek.

Mężczyzna ma najmniejszy domek, ponieważ służy on jedynie do spania. Mężczyzna może także odwiedzać domki swoich żon. Kobieta nie może skarżyć się lub kłócić z mężczyzną. Kiedy kobieta ma jakąś skargę musi iść do domku teściowej, która przekaże skargi swojemu synowi. Ciekawa wygląda sprawa oświadczyn. Chłopak w centrum wioski musi wywiesić flagę. Oznacza ona, że znalazł sobie kandydatkę na żonę i jest gotowy walczyć o nią z konkurentami. Dla jego ojca jest to także symbol, aby przygotował krowy, którymi jego syn będzie musiał zapłacić za rękę jego wybranki.

Znając niektóre tradycje Zulusów wchodzimy do wioski, która została wybudowana zgodnie z powyższymi zasadami. Oglądamy kobiety tkające w tradycyjny sposób, pokaz noszenia dzbanów na głowie (Magda próbuje, ale długo nie wytrzymuje :), taniec wojenny. Później mamy okazję spróbować Zuluskiego piwa. Kulminacyjną częścią jest pół godzinny pokaz tańców mężczyzn i kobiet w rytm buszmeńskiej muzyki. Głównymi elementami tańców są podskoki, krzyki oraz wysoko unoszone nogi. Tańce, jak i cała wioska, bardzo nam się podobają. Nasz pobyt w Zululandzie kończy się obiadem w dużych chatkach, stylizowanych na Zuluskie. Jednak podawane jedzenie jest raczej kuchnią europejską i zastanawiamy się czy Zulusi mają jakieś swoje potrawy.

Z Shakalandu jedziemy do St Lucii, parku narodowego otoczonego wodą, w którym można oglądać wiele wodnych i lądowych zwierząt. Po drodze wступujemy do Umlalazi Nature Reserve, pooglądać wydmy.

14.08.2005, niedziela, St Lucia->Nelspruit (km 3300)

Wczoraj wieczorem od właściciela hostelu dowiedzieliśmy się gdzie można oglądać hipopotamy, krokodyle, antylopy i inne zwierzęta. Najciekawsze jest to, że w St Lucia można poruszać się na pieszo. Prawdopodobnie nie ma tu drapieżników, które są największym zagrożeniem dla ludzi. Wstajemy rano i widzimy jak raz mała przebiega nam ulicę. Fajna miejscowość. Właściciel hostelu skarżył się, że ma problem z małpami, które kradną ludziom różne rzeczy. Jedziemy samochodem do miejsca, gdzie mają być hipopotamy i krokodyle. Hipopotamy rzeczywiście siedzą w wodzie, wydając ciekawe odgłosy. Szukamy krokodyli, ale dzisiaj się pochowwały. Jest tylko świeży ślad po krokodylu wchodzącym do wody. Za to oglądamy dużo różnych rodzajów ptaków. Następnie jedziemy w kolejne miejsce, w którym mają być zwierzęta. Po drodze widzimy antylopę i gromadę surykatek, które szukają pożywienia przy drodze. W parku, gdzie miały być kolejne zwierzęta widzimy tylko jedną antylopę i guźca. Za to przy okazji wступujemy do kościoła, w którym kończy się właśnie msza. Kościół jest katolicki a mszę odprawia 60-letni diakon.

W ostatnim miejscu polecanym przez właściciela hostelu miały być antylopy i zebry. Były to rozległe pola, ale przez około 1h udało nam się zobaczyć tylko jedną antylopę, która od razu uciekła, gdy nas zobaczyła. Dzisiaj nie mieliśmy szczęścia. Jednak niedługo będziemy w Kruger NP, jednym z najslawniejszych parków ze zwierzętami w Afryce.

Po południu jedziemy w kierunku Krugera. Najkrótsza droga jest przez Swaziland i tak jedziemy. W Swazilandzie nie ma nic, co by nas interesowało, dlatego jedynie omijamy ten mały i biedny kraj. Jest to bardzo długa trasa (550 km do Nelspruit) i dopiero przed zachodem słońca wyjeżdżamy z Swazilandu.

Na granicy musimy wypełnić formularze wyjazdowe. Idę do samochodu po długopis, który jest w plecaku w bagażniku. Z powodu zmęczenia zatrząskuję kluczyki do samochodu w bagażniku. Teraz mamy problem. Próbuje spuścić szybę samochodu, ale nie jest to takie łatwe. Na

szczęście pojawiają się miejscowi, którzy próbują nam pomóc. Jedni chcą wpuścić drut przez szparę w szybie i pociągnąć do góry przycisk blokujący drzwi. Pojawia się także mężczyzna, który ma ten sam model samochodu. Próbuje otworzyć samochód przez podniesienie przycisku blokującego drzwi korzystając ze szpary pod klamką. Widać, że już miał podobne problemy ze swoim samochodem. Udaje mu się podnieść przycisk, ale tylko do połowy. Za to z drugiej strony udaje się otworzyć samochód drutem. Jesteśmy uratowani. Jest już prawie ciemno a my musimy jeszcze dojechać do Nelspruit, które jest miejscem wypadowym do Krugera i Blyde River Canyon. Po drodze widzimy pożar, jak prawie codziennie. Słyszeliśmy, że są to specjalnie wyznaczone i odgródzone kawałki ziemi do wypalenia, które spowodują zatrzymanie prawdziwego pożaru (fire break). A zagrożenie pożarowe w porze suchej jest bardzo duże.

15.08.2005, poniedziałek, Nelspruit->Orpen Gate (km 3650)

Rano jedziemy w kierunku Pilgrim's Rest. Miasto to jest pamiątką po gorączce złota, która dotarła też do RPA. Jednak złoża złota dawno się skończyły. Pilgrim's Rest wygląda jak miasteczko przeniesione z westernu. Brakuje tylko szeryfa z odznaką i bandytów. Następnie pojechaliśmy się w kierunku Blyde River Canyon. Po drodze wstąpiliśmy do God's Window, punktu widokowego na pobliski kanion. Blyde River Canyon jest jedną z najładniejszych atrakcji, które widzieliśmy podczas naszej podróży po Afryce: małe wodospady i pomarańczowe skały wyżłobione przez wodę w różne ciekawe formy. Ostatnią naszą atrakcją tego dnia były Three Rondavels, trzy walcowate skały przypominające garnki, głowy, piramidy i co tam jeszcze kto sobie potrafi wyobrazić.

Okolo 16:00 byliśmy przy bramie Orpen (Orpen Gate) Krugera. Chcieliśmy pooglądać zwierzęta, które wychodzą z ukrycia przed zachodem słońca. Według planu mieliśmy przenocować na kempingu w Krugerze, ale okazało się, że wszystkie miejsca są zajęte. Już przy samej bramie udało nam się zaobserwować stado antylop. Jednak my zostaliśmy zmuszeni do nocowania poza parkiem. Nikt nam nie powiedział, że mogą być problemy z noclegami, ale teraz widzieliśmy osoby rezerwujące noclegi na następny miesiąc. Po ciężkich bojach (dwa razy wyższe ceny) znaleźliśmy hotel blisko parku.

16.08.2005, wtorek, Orpen Gate->Nelspruit (km 4000)

Wczoraj postanowiliśmy być o świcie przy bramie Orpen i spędzić cały dzień w Krugerze. Bramy w Krugerze są otwarte od 6:00 do 18:00. Ciężko było nam wstać o 5:30, ale odgłosy kilku przejeżdżających samochodów utwierdziły nas w przekonaniu, że to dobry pomysł, bo inni też tak robią. O 6:15 byliśmy już w środku, po wcześniejszym tankowaniu i kupnie biletów. Czytaliśmy, że najwięcej zwierząt można zobaczyć mniej więcej od 6:00 do 10:00 i od 16:00 do 18:00. Okazało się jednak, że w Krugerze zwierzęta można oglądać przez cały dzień, bo jest dużo drzew i zwierzęta nie muszą się chować przed słońcem.

Safari w Krugerze polega na rozglądaniu się po prawej i po lewej stronie drogi i na wypatrywaniu zwierząt. Można też wypatrywać inne samochody stojące na poboczu lub na drodze, co sugeruje, że ktoś coś ciekawego zauważył. W Krugerze najwięcej jest antylop impala, których widzieliśmy setki. Inni turyści widząc antylopy nawet się nie zatrzymują, widać, że są tu już n-ty dzień z kolei i się ich naoglądali. Najciekawsze jest to, że w Krugerze zwierzęta przyzwyczyły się do ludzi i nie uciekają widząc ludzi. W Tanzanii i Kenii trudno jest zrobić zdjęcia zwierząt z bliska, ponieważ uciekają one od ludzi.

Nasze safari rozpoczęło się od widoku stada sępów, które obgryzało resztki jakiegoś zwierzęcia. Później zobaczyliśmy duże zgromadzenie samochodów. Podobno gdzieś daleko w krzakach było widać lwa, ale my nic nie widzieliśmy. Z ciekawszych wydarzeń: widzieliśmy stado bawołów, które przechodziło przez ulicę. Zrobił się duży sznurek samochodów, bo bawoły zablokowały przejazd. Później zobaczyliśmy, że jeden z samochodów stoi akurat w miejscu przechodzenia zwierząt a dookoła niego przechodzą dziesiątki bawołów, które są bardzo niebezpieczne dla człowieka. Sami mieliśmy podobne zdarzenie z żyrafami. Robiliśmy zdjęcia

żyrafom obgryzającym pobliskie krzewy. Nagle kilka żyraf przebiegło przez ulicę dokładnie przed i za naszym samochodem. Ze środka widzieliśmy tylko kilkanaście długich i chudych nóg :) Podobnie było także ze słoniami. Patrząc w lusterko a tu jeden słoń ze stada wszedł na ulicę i zaczął iść w stronę naszego samochodu. Postanowiłem nie sprawdzać, czy się zatrzyma i odjechałem.

Do południa widzieliśmy bardzo dużo różnych zwierząt np. kilkadziesiąt antylop impala, słoni, bawołów, żyraf, zebra, pawianów, kilkanaście antylop gnu, guźców, hipopotamów, kilka kudu i vervet monkey. Po południu postanowiliśmy nie zatrzymywać się przy zwierzętach, które za często widzieliśmy lub były zbyt daleko i nie można im zrobić dobrego zdjęcia. Zaczęliśmy także szukać zwierząt, które są bardzo blisko drogi i można im np. zrobić zbliżenie głowy, co nam się udało z antylopami i zebami.

Na safari najtrudniej zobaczyć drapieżnika, których jest stosunkowo mało. Jednak my mieliśmy szczęście, ponieważ zobaczyliśmy lwicę, która z podniesioną głową przemaszerowała przez ulicę. Stała dumnie, prosto, porzglądała się na prawo i lewo, pokazując, kto tu rządzi. Na koniec przemaszerowała między samochodami, ku uciesze turystów. Po zobaczeniu lwicy byliśmy w pełni szczęśliwi. Marzyliśmy jeszcze tylko, żeby zobaczyć nosorożce, których jest tu podobno dużo (białe i czarne), ale widocznie one dzisiaj nie chciały nas oglądać. Pomimo tego był to jeden z naszych najlepszych dni w Afryce.

W Krugerze przejechaliśmy ponad 200 km (Orpen->Satara->Lower Sabie->Skukuza->Numbi). Wyjechaliśmy kilka minut przed 18:00, bramą najbliższą do Nelspruit, w którym chcieliśmy przenocować. Przy wyjeździe strażnicy sprawdzali, czy nie wywozimy jakiegoś zwierzaka, ale żadne nie chciało z nami jechać.

17.08.2005, środa, Nelspruit->Pretoria (km 4350)

Rano jedziemy w kierunku Pretorii (stolica administracyjna), ponieważ mamy tam do 14:00 oddać samochód. W Pretorii jesteśmy po południu, więc korzystając z okazji jedziemy na dworzec autobusowy, aby dowiedzieć się o autobus do Zimbabwe. Okazuje się, że w dwóch firmach wszystkie miejsca na dzisiaj są zajęte. Przy tak drogich autobusach (60\$/os.) jest to bardzo ciekawe. Jednak okazuje się, że możemy do Zimbabwe jechać pociągiem, który jest znacznie tańszy i wygodniejszy. Jedyny problem, że jest dużo wolniejszy od autobusu, ale lepsze to niż zmarnować jeden dzień w stolicy.

Po oddaniu samochodu szukamy miejsca, w którym przegramy nasze zdjęcia na płytce CD. Przez dwa tygodnie zrobiliśmy 700 zdjęć (1 GB). W kafejkach internetowych się nie udało, ponieważ nie mają kabla (mini-USB to USB). Zdjęcia udaje nam się przegrać w laboratorium fotograficznym, ponieważ mają czytnik kart pamięci. Pozwalają nam także pooglądać i wybrać lepsze zdjęcia, dzięki czemu możemy się zmieścić na 1 płytce CD.

Pod wieczór idziemy z plecakami w kierunku dworca kolejowego. Przy okazji zwiedzamy centrum miasta, czyli Church Square. Przechodzimy także koło Transvaal Museum, przed którym stoi szkielet dinozaura. Po 20:00 mamy pociąg do Beitbridge (granica z Zimbabwe).

18.08.2005, czwartek, Pretoria->Beitbridge (km 4950)->Masvingo (km 5250)

Podróżujemy kuszetkami, więc noc mija całkiem przyjemnie. Jednak pociąg jest strasznie wolny, po 600km przejeżdżamy przez 14h. Ze stacji kolejowej szukamy minibusa, który zawiezie nas do granicy. Czujemy się tu jak na wielkim targowisku, ponieważ wszyscy mają wielkie torby z zakupami, z którymi jadą do Zimbabwe. W minibusie dowiadujemy się, że musimy kupić dolary zimbabweńskie w RPA, ponieważ kurs bankowy w Zimbabwe jest dwa razy niższy niż czarnorynkowy a po przekroczeniu granicy wymiana pieniędzy na czarnym rynku jest nielegalna i grozi poważnymi konsekwencjami. Wymieniamy w RPA 50\$, za które dostajemy 1 800 000 dolarów zimbabweńskich (zim\$). Jest to kupa pieniędzy, zwłaszcza, że najwyższy banknot to 20 000 zim\$. W ogóle to banknoty 10 000 i 20 000 zim\$ mają zadrukowaną tylko jedną stronę i jest na

nich napisane, że są to banknoty tymczasowe, które po jakimś czasie utracą ważność. To pewnie dlatego słyszeliśmy, że zim\$ nie da się wymienić z powrotem na inną walutę :)

W wymianie pieniędzy i przejściu przez granicę pomaga nam Obvious, którego poznaliśmy w minibusie. Jest byłym policjantem, a teraz założył własną firmę sprzedającą oleje silnikowe. W RPA czuliśmy się jak w Europie czy w USA. Ludzie żyją tam podobnie jak u nas (supermarkety, stres, pogoń za pieniądzem). Dopiero po przekroczeniu granicy zaczęła się prawdziwa Afryka. Zimbabwe jest dużo biedniejsze od RPA, co widać po ludziach, domach i gorszych drogach. Jednak pomimo biedy, ludzie są bardziej uprzejmi niż w Europie czy RPA. Przykładem tego jest Obvious, który zaprosił nas do swojego domu. Najpierw sprawdziliśmy, że autobus do Masvingo jest dopiero o 18:00, więc mieliśmy dużo czasu i skorzystaliśmy z zaproszenia. Obvious mieszka w nowym, częściowo niedokończonym, murowanym domu. Na tutejsze standardy jest bogaty i z dumą oprowadza nas po swojej posiadłości.

Od granicy zauważamy, że wszyscy ludzie w Zimbabwe podają sobie ręce na przywitanie, zarówno mężczyźni jak i kobiety. Także znajomi i znajome Obviousa witają się z nami uściskiem dłoni. Chyba rzeczywiście zwyczaj uścisku dłoni pochodzi z Afryki. W Lesotho dowiedzieliśmy się, że przy uścisku dłoni druga dłoń powinna znajdować się na łokciu pierwszej ręki a głowa na wysokości głowy drugiej osoby (aby się nie wywyższać). Podobny styl zauważyliśmy wśród mieszkańców w Zimbabwe. Następnym zwyczajem jest obmywanie rąk przed jedzeniem. Żona Obviousa przyniosła miskę nad którą trzymaliśmy dłonie a ona z dzbanka polewała nam wodę. Później zostaliśmy poczęstowani napojami, poznaliśmy także wszystkie dzieci Obviousa i rozmawialiśmy o jego rodzinie, kulturze. Po godzinie postanowiliśmy pójść na dworzec autobusowy, aby zająć miejsca w autobusie oraz pozwolić Obviousowi naprawiać swój samochód, do którego części przywiózł z RPA. Ku naszemu zaskoczeniu, na przystanek odprowadziła nas cała rodzina. Zrobiliśmy też wspólne zdjęcie i wymieniliśmy się adresami.

Od 15:00 siedzimy w autobusie i czekamy na odjazd. Razem z nami siedzi kilkadziesiąt osób, pilnująca swoich miejsc. W środku jest jak w saunie. Dopiero pod wieczór temperatura się obniża. Nasze plecaki i wiele innych rzeczy leży na dachu autobusu. W RPA to nie do pomyślenia, ale nam przypomina się Azja (np. Laos). W prawdziwej Afryce czas nie ma znaczenia, dlatego odjeżdżamy dopiero przed 20:00. W Masvingo jesteśmy po 2:00 w nocy. Szukamy hotelu, ale dopiero w piątym są wolne miejsca. Wszystkie hotele były zajęte, ale nie przez turystów, tylko przez miejscowych. Właściciel hotelu chce od nas 30\$, chociaż miejscowi płacą równowartość około 7\$. Podobno w Zimbabwe rząd zażyczył sobie, aby wszyscy turyści płacili za hotele w dewizach a właściciele hoteli wymieniali te dewizy na zim\$ w bankach (po dwa razy niższym kursie). Mówimy, że nie będziemy płacić 30\$ za kilka godzin snu i targujemy się do 16\$. Nie jesteśmy jednak pewni, czy właściciel zgłosi zagranicznych turystów, czy będzie wolał zarobić i wymienić dolary na czarnym rynku.

19.08.2005, piątek, Masvingo->Great Zimbabwe (km 5300)->Bulawayo (km 5550)

Z Masvingo jedziemy minibusem do ruin Wielkiego Zimbabwe. Jest to jedna z trzech najważniejszych budowli (piramidy, Lalibela, Great Zimbabwe) w Afryce sięgających czasów przedkolonialnych (nie wybudowana przez Europejczyków). Miasto czasy świetności ma dano za sobą i nie na darmo mówi się, że są to ruiny Wielkiego Zimbabwe. Miasto było całe zbudowane z kamienia, bez użycia gipsu. Najładniejsze zdjęcia wychodzą z murem, zbudowanym na planie okręgu, wchodzącym w skład Wielkiego Ogrodzenia (Great Enclosure).

Z Wielkiego Zimbabwe jedziemy z powrotem do Masvingo. Nie przejeżdżał żaden minibus, ale udało nam się zatrzymać autostop (kobieta z rodziną w luksusowym samochodzie terenowym). Słyszeliśmy o kryzysie paliwowym w Zimbabwe, ale w Masvingo zobaczyliśmy go na własne oczy. Na stacji benzynowej (Shell) stała kolejka kilkuset osób, które zapisywały się na paliwo. Na szczęście autobusy mają własne zaopatrzenie w paliwo. Od 14:00 czekamy na autobus do Bulawayo. Miejscowi mówią, że jedzie 3h, co w Zimbabwe oznacza, że pewnie będzie jechał 6h. O

18:00 jesteśmy trochę dalej niż w połowie drogi, ale okazuje się, że z nami tylko 7 osób jedzie do Bulawayo. Kierowca i bileter decydują, że im się nie opłaca jechać. Kazał wszystkim wysiadać. Przynajmniej oddają połowę pieniędzy. Jednak zamiast tych pieniędzy wolelibyśmy dojechać do celu.

Znowu pomagają nam miejscowi, którym zależy na dojechaniu do Bulawayo. Dowiadują się, że żadnego autobusu już nie będzie. Później chcą wynająć dla 4 osób samochód z kierowcą. Kończy się na tym, że jedziemy w kabinie TIRa, 7 osób, razem z kierowcą. Siedzimy na miejscu, które jest łóżkiem kierowcy. Po 21:00 jesteśmy na miejscu. Nie chcemy w nocy włączyć się z plecakami po hotelach, więc postanawiamy zadzwonić i pytać się o wolne miejsca i cenę. Zaczepia nas Hindus, który pyta się, w czym może nam pomóc. Znajduje dla nas hotel za 4\$, czyli w cenie dla miejscowych, w miejscu które już mijaliśmy i nie spodziewaliśmy się, że to jest hotel, bo nie było szyldu. Rewelacyjnie, bo nie musimy nigdzie iść lub jechać. Hindus załatwia nam także na rano przewodnika na dworzec autobusowy, bo podobno ciężko jest tam trafić. Uważamy, że nie potrzebujemy przewodnika, ale za 0,5\$ nawet głupio jest odmówić.

20.08.2005, sobota, Bulawayo->Victoria Falls (km 6000)

Z samego rana jedziemy na dworzec autobusowy. W przewodniku dworzec był blisko, ale został przeniesiony i trzeba było dojechać tam miejskim minibusem. Dobrze, że mamy ze sobą przewodnika, bo ciężko byłoby trafić. Od 7:30 czekamy na autobus do Victoria Falls (granica z Zambią). Od naszego przewodnika dowiadujemy się, że kiedyś był kierowcą autobusu, który jeździł z turystami do parków narodowych. Teraz w Zimbabwie jest bardzo mało turystów. Poza tym duża część zwierząt została zabita dla ziemi lub dla mięsa. Przewodnik mówi także, żeby uważać na złodziei, ponieważ większość ludzi jest tu bezrobotna. Nasz przewodnik dostaje tylko 0,5\$ (+koszty minibusa) za 3-4 godziny spędzone z nami. Zastanawiamy się, czy nie dać mu więcej, ale boimy się, że zabraknie nam pieniędzy na bilet do Vic Falls. O 9:30 wyjeżdżamy z Bulawayo a o 17:30 jesteśmy w Vic Falls. Po drodze zrobiliśmy zakupy po miejscowemu, czyli przez okno autobusu kupiliśmy mandarynki i pomarańcze. Vic Falls to typowo turystyczne miasto. Jest tu bardzo dużo białych turystów, dużo naganiaczy, można tu zjeść nawet pizzę. Ceny też są odpowiednio wyższe. W hostelu zauważamy polskie nazwiska. Dwa dni przed nami było tu dwóch Polaków. Zawsze miło zobaczyć jakiś polski akcent.

21.08.2005, niedziela, Victoria Falls->Lusaka (km 6450)

Wstajemy przed wschodem słońca, bo wschód słońca chcemy oglądać nad wodospadami Wiktorii. Bramę otwierają o 6:30 i udaje nam się zdążyć. Wodospady są ogromne i naprawdę robią wrażenie. Nie jest to jeden wodospad a kilkanaście sąsiadujących wodospadów. Dlatego jest tu aż kilkanaście punktów widokowych. Za to w porze deszczowej jest to chyba jeden duży wodospad. Wiemy także, że często z rana tworzą się tęcze przy wodospadach. Udaje nam się zauważyć nawet trzy tęcze. Robimy też jedno z najlepszych zdjęć podczas tej wyprawy, czyli my, wodospady i tęcza. Wracając w stronę wyjścia trafiamy na gromadę małp, które spokojnie sobie spacerują, nie bojąc się ludzi.

Wracamy do hostelu po plecaki i idziemy na pieszo na granicę, którą jest most na rzece Zambezi, kilkaset metrów od wodospadów. Przekraczając granicę cały czas słyszymy odgłos wodospadów. Z mostu widzimy ludzi na raftingu po Zambezi. Po przekroczeniu granicy szukamy transportu do Livingstone. Widzimy same taksówki. Chcą od nas 20\$ za przejazd. Odchodzimy od granicy, cena maleje do 10\$. Jeszcze trochę dalej jest minibus, który zabiera nas za 1\$/2 os. do Livingstone. Kierowca jest tak miły, że pozwala nam zapłacić po zamianie pieniędzy w Livingstone. Dowiadujemy się ile kosztuje autobus do Lusaki i wymieniamy pieniądze. Pieniądze musimy wymienić na czarnym rynku, bo jest niedziela. Od 11:00 do 13:45 czekamy aż autobus się zapełni. Korzystając z wolnego czasu idziemy na zakupy do supermarketu. Próbuje też załatwić monety, ale monet nie używa się tu od ponad 10 lat. Naciągacze załatwiają specjalnie dla mnie

monety, ale chcą 1\$ za monetę. Dziękuję im bardzo, ponieważ zwykle monety dostaje po nominalnej wartości lub za darmo.

W autobusie jadą z nami sami Murzyni, do czego się już zdążyliśmy od dawna przyzwyczaić. Po około 7h, czyli o 21:00 jesteśmy w Lusace. Przewodnik zaleca nie poruszanie się po mieście po zmroku, więc zgadzamy się na taksówkę. Jest to stary, rozsypujący się grat, któremu na zakręcie drzwi same się otwierają. Kierowca chce 10\$, ale mówimy mu, że mamy mało lokalnych pieniędzy i zgadzamy się na 5\$ za dowiezenie nas do taniego hotelu. On zawozi nas do hostelu, który jest pełny, o czym sam dobrze wcześniej wiedział. Później proponuje nam hotel za 22\$/os., ale nie stać nas na taki hotel i musimy wymienić pieniądze. Po wymianie pieniędzy jedziemy do hotelu. Teraz najlepsze: taksówkarz wjeżdża na stację benzynową, tankuje za 2\$ i prosi nas o zapłatę za paliwo. Płacimy i jedziemy do hotelu. Cieszymy się, bo hotel w rzeczywistości kosztuje 18\$. Jednak kierowca taksówki chce od nas 14\$, bo musieliśmy jechać w trzy miejsca. Według nas do pierwszego miejsca nie było sensu jechać, jak kierowca wiedział, że nie ma tam wolnych miejsc. Aby wymienić pieniądze też nie musieliśmy jechać, ponieważ stać nas było na hotel za 18\$ i 5\$ za taksówkę, o czym taksówkarz też wiedział. Dodatkowo nie powiedział do końca, że chce więcej pieniędzy. Przez pół godziny kłóć się w recepcji hotelu z taksówkarzem o pieniądze. Zgadza się na równowartość 7\$, taksówkarz dostaje 5\$, ponieważ 2\$ zapłaciliśmy na stacji. Mina mu zrzędła, miał nadzieję, że zapomniałem o stacji benzynowej. Na koniec taksówkarz straszy mnie, że mnie Bóg pokara za to, że dałem mu za mało pieniędzy. Ja mu odpowiedziałem, że Bóg sam osądzi, kto miał rację. Była to nasza pierwsza i zarazem ostatnia taksówka podczas tej podróży. Jakoś nigdy nie lubiliśmy podróżować taksówkami...

22.08.2005, poniedziałek, Lusaka->Mbeya (km 7450)

Mieliśmy nadzieję, że po kilku nieprzespanych nocach wreszcie będziemy mogli się wyspać, ale około 7:00 budzą nas hałasy z zewnątrz. W Zambii nie ma nic, co by nas interesowało, więc planujemy jechać autobusem prosto do Tanzanii. Autobus jest dopiero o 17:00, ale słyszeliśmy, że z rana trzeba kupić bilety. Bierzymy plecaki i jedziemy na dworzec autobusowy minibusem. Dojeżdżamy kilkaset metrów od dworca, ale znowu spotykamy bardzo miłego człowieka (pracownik opieki społecznej), który prowadzi nas na dworzec i pomaga w kupnie biletów. Następnie zostawiamy plecaki na dworcu autobusowy i korzystając z wolnego czasu idziemy zwiedzać miasto. Centrum wygląda całkiem nieźle, np. zadbana roślinność, w końcu to stolica, ale w mieście oprócz katedry i meczetu nic ciekawego nie było. O 16:00 jesteśmy przed autobusem na boarding (jak w samolocie). Autobus jest luksusowy (Scandinavia), jak w RPA (także tak samo drogi jak w RPA). Spodziewałem się spotkać białych turystów w tym drogim autobusie, ale się zawiodłem. Widać wśród lokalnych też są ludzie bogaci.

23.08.2005, wtorek, Mbeya->Ngozi Crater Lake->Mbeya (km 7550)

Przed wschodem słońca jesteśmy na granicy z Tanzanią. Czekamy do 6:00 rano na otwarcie granicy. Po raz pierwszy musimy przestawić zegarki, ponieważ w Tanzanii, Kenii i Etiopii jest godzina później niż w RPA, Zimbabwie, Zambii jak i Polsce. Wypełniamy formularze, płacimy za wizę i już jesteśmy w Tanzanii.

Autobus jedzie do byłej stolicy (Dar es Salaam), ale my wysiadamy niedaleko za granicą, w Mbeyi. Chcemy tu zobaczyć Ngozi Crater Lake. Wymieniamy pieniądze, znajdujemy hotel i kupujemy na jutro bilety do Dar es Salaam (dwa razy taniej niż Scandinavia). Następnie dowiadujemy się jak dojechać do Ngozi Crater Lake. Proponują nam wycieczkę z przewodnikiem za 15\$/os. Targujemy się do 15\$/2 os. Jest to bardzo dobra cena, bo mamy wliczony koszt przejazdu i opłatę wejściową. Najpierw jedziemy minibusem, później idziemy kilka kilometrów po płaskim. Nasz przewodnik, Peter, jest bardzo miły. Czas nam biegnie dużo szybciej rozmawiając z nim o różnicach w życiu w Afryce i Europie. Na końcu wdrapujemy się 900m w górę na szczyt Ngozi Crater Lake. Jesteśmy na wysokości 2690m, w dole mamy jezioro w miejscu wygasłego

wulkanu. Idę z Peterem nad brzeg jeziora. Jest to 200 m prawie pionowego zejścia w dół. Nie dziwię się, że większość ludzi nie schodzi w dół. Cała wycieczka w dwie strony zajmuje nam około 7h. Bez Petera byśmy tam nie trafili, bo są nieoznakowane miejsca, w które należy skręcić. W Mbeyi jesteśmy już po zmroku. Peter mówi, że pierwszy raz wybrał się tak późno (po południu) do Ngozi, ale jest pod wrażeniem naszego dobrego tempa. Peter pokazuje nam restaurację, w której zjadamy obiado-kolację (duży hamburger i specjalnie przygotowany dla nas omlet za 3\$). Wypełniamy jeszcze książkę (po polsku) z wpisami turystów o wycieczkach organizowanych przez firmę Petera. Tak się kończy nasz pierwszy, bardzo udany dzień w Tanzanii.

Zauważamy, że ceny jedzenia i hoteli w Tanzanii są znacznie niższe w porównaniu do poprzednich krajów. Ludzie są bardzo mili, nawet Ci, którzy chcą na nas zarobić nie są tacy natarczywi. Jedyne problemy, że począwszy od Tanzanii dużo ludzi nie zna języka angielskiego, bo w Tanzanii i Kenii mówi się w swahili.

24.08.2005, środa, Mbeya->Dar es Salaam (km 8350)

Wstajemy o 4:45 (3:45 w RPA lub Polsce), bo o 5:30 powinniśmy być w autobusie. Po kilku minutach jazdy autobus się psuje, ale na nasze szczęście przyjeżdża lepszy autobus. Droga jest nudna, z wyjątkiem przejazdu przez Mikumi NP, w którym z za szyb autobusu widzimy słonie, antylopy, antylopy gnu, żyrafy, zebry i małpy. A najważniejsze, że wszystko za darmo :) Do Dar dojeżdżamy dopiero po 18:00. Bierzemy minibus (zwany tu dała-dala) do centrum (koszt 0.3\$/2 os., zamiast taksówki za 3\$).

Hotele w Dar kosztują od 5\$, jednak te najtańsze są zapełnione, znowu nie turystami a miejscowymi. Udaje nam się przy pomocy naganiacza znaleźć hotel za 9\$. Wiemy, że naganiacz dostanie prowizję od hotelu, więc mu nic nie płacimy. Naganiacz próbuje na nas zarobić sprzedając nam bilet na Zanzibar, ale nie z nami te sztuczki Bruner :)

25.08.2005, czwartek, Dar es Salaam->Zanzibar (km 8450)

Rano idziemy na przystań. Wiemy, że na Zanzibar płynie Aziza za 15\$ (płynie 5h) i Flying Horse za 20\$ (płynie 3h). My kupujemy bilet na New Happy (za 18\$), który miał być szybszy niż Aziza, ale okazuje się, że te dwa promy płyną razem i płyniemy 5h.

Od Zimbabwe, gdy pytamy ile czasu jedzie autobus czy płynie prom wszyscy podają około 2 razy krótszy czas. Może miejscowi lubią żyć w nieświadomości, ale nas i innych Europejczyków to denerwuje. Według wydrukowanego rozkładu wszystkich promów na Zanzibar Aziza płynie 2,5h :)

Zanzibar był kiedyś odrębnym krajem, teraz jest odrębnym stanem i przypluwając tu przechodzi się odprawę paszportową. Blisko odprawy stoi stolik z gościem, który twierdzi, że jest informacją turystyczną. Według niego na Zanzibarze jest wysoki sezon i nie ma wolnych miejsc, więc, aby zaoszczędzić na szukaniu hotelu powinniśmy wziąć taksówkę za 2\$. Dodatkowo proponuje nam mapę Zanzibaru (za jedyną 2\$), którą, jak twierdzi, w mieście można kupić za 2\$. Wszystko bardzo przekonujące, większość turystów w to wierzy a interes kwitnie. My chcieliśmy to sprawdzić na własnej skórze. Okazało się, że do centrum Zanzibaru (Stone Town) jest bardzo blisko a wszystkie hotele są prawie puste. Jedyne problemy, że hotelarze ustalili sobie cenę 10\$/os. (jak w RPA) i nie chcą jej opuścić, chociaż standard hoteli w tej samej cenie znacznie się różni. W końcu znajdujemy hotel za 8\$/os. ze śniadaniem (wszystkie hotele są ze śniadaniem). Przed zachodem słońca idziemy się rozejrzeć. Kupujemy na straganie miejscową zupę i sok z trzciny cukrowej i ku zdziwieniu miejscowych, siadamy z nimi na długiej ławce pod ścianą.

26.08.2005, piątek, Zanzibar (Stone Town)->Nungwi Beach (km 8500)

Rano zwiedzamy Stone Town m.in. katedrę, meczet i fort. Stone Town słynie z ozdobnych drzwi w stylu pochodzącym z Indii lub Persji. Wygląd drzwi świadczył o zamożności i statusie właściciela

domu. Na drzwiach są ostro zakończone wypustki, które miały zabezpieczać przed słońcami, wywarzającymi drzwi. Na Zanzibarze wypustki na drzwiach zostały tylko w celach dekoracyjnych.

Następnie robimy zakupy na targu, gdzie owoce są bardzo tanie. Spodziewamy się, że blisko plaży będzie dużo drożej. Później szukamy transportu do Nungwi Beach (40 km od centrum), gdzie podobno są najładniejsze plaże na Zanzibarze. Mamy do wyboru shuttle za 5\$ (którym jeżdżą wszyscy turyści) i dala-dala za 1,5\$. Wybieramy dala-dala, którym jedziemy około 2h do Nungwi. Wszystko przez to, że dala-dala cały czas się zatrzymuje a pod koniec drogi kończy się asfalt.

Przy pomocy naganiacza (który dostanie prowizję od hotelu) szukamy noclegu. Mamy tu zostać kilka dni, więc trzeba wybrać dobry i tani hotel. Magda zostaje z plecakami a ja przez 2h zwiedzamy wszystkie hotele w Nungwi. Ceny są między 20-80\$ za pokój. Jest też jeden hotel w centrum (daleko od plaży), w którym właściciel proponuje po targach 16\$. Decydujemy się jednak na hotel przy plaży. Przynajmniej w cenie mamy śniadanie.

Dla miejscowych czas ma małe znaczenie, ale w ciągu tych dwóch godzin szukania udało mi się zmęczyć naganiacza. Będzie pamiętał turystów z Polski :) Porozmawialiśmy sobie trochę o Zanzibarze i mężczyzna powiedział, że właścicielami hoteli są tu Hindusi. Miejscowi są głównie rybakami i zarabiają 20-30\$ miesięcznie. Najlepszą fuchą jest tu bycie szefem kuchni, który zarabia 200\$ miesięcznie. Ja mu powiedziałem, że powinien złożyć się ze swoją rodziną (a nawet wioską) i wybudować hotel. Po jego reakcji przypomina mi się stwierdzenie, że Murzyni nie są jednak za bardzo obrotni.

Przed zachodem słońca idziemy na naszą plażę. Piasek jest super, drobny i biały. Woda jest także super. Jedyne problem, że jest tu dużo śmieci na plaży, których nikt nie sprząta. Na plaży oglądamy cudowny zachód słońca. Wieczorem widzę, że przez to popołudniowe szukanie hotelu spaliła mi się twarz. Zima nie zima, ale 30 stopni jest i ze słońcem trzeba uważać :)

27.08.2005, sobota, Nungwi Beach

Na Zanzibar przyjechaliśmy odpocząć od trudów naszej wyprawy, więc od rana idziemy na plażę. Opalamy się i kąpiemy do południa. Około południa jest największe słońce, więc wszyscy schodzą z plaży. Później idziemy na spacer brzegiem morza. Następnie jemy obiad. Można tu zjeść całkiem niedrogą pizzę, więc decydujemy się spróbować tanzańskiej pizzy. Była całkiem dobra. Po obiedzie idziemy znowu na plażę. Dopiero wieczorem widzimy jak na słońeczko dzisiaj podpiekło...

28.08.2005, niedziela, Nungwi Beach

Zaczyna się kolejny, spokojny dzień. Rano jemy śniadanie i idziemy na plażę. Później idziemy na spacer w kierunku latarni morskiej, przy której wstępujemy na fermę żółwi. Chcemy dojść wzdłuż wybrzeża do następnej miejscowości, Kendwy, ale woda jest zbyt wysoka i nie można przejść. Na obiad jemy pizzę, która tym razem jest bardzo mała. Idziemy do restauracji dla miejscowych, gdzie zamawiamy dwie porcje frytek. Szykujemy się na zachód słońca, ale dzisiaj słońce było za chmurami. Za to idziemy na wieczorny, pożegnalny spacer po plaży. Jutro chcemy pojechać na południe Zanzibaru.

29.08.2005, poniedziałek, Nungwi Beach->Stone Town->Bwejuu->Stone Town (km 8600)

Rano jemy śniadanie i po 9:00 wyjeżdżamy minibusem (dala-dala) do Stone Town. Zostawiamy plecaki w porcie, w biurze, w którym kupiliśmy bilety na powrotny prom. Chcemy pojechać do Bwejuu, na południu Zanzibaru, zobaczyć palmową plażę. Akurat ucieka nam dala-dala numer 324. Ponad godzinę czekamy na następny, ale nie poddajemy się i o 14:00 wyjeżdżamy ze Stone Town. Około 16:00 jesteśmy w Bwejuu. Prawie cały dzień padało, ale na szczęście przestało. Okazuje się, że mogliśmy jechać dala-dala numer 310 do Paje, skąd jest tylko 3km plażą do Bwejuu. A dala-

dala numer 310 kursują bardzo często. Będziemy wiedzieć na następny raz :) Z Bwejuu idziemy plażą do Paje, bo około 17:00 ma być ostatni dala-dala. Plaża jest zupełnie inna niż na północy. Nie ma skał, nie ma łódek rybackich. Plaża jest bardzo płaska, pusta, jest to bardzo mało ludzi i strasznie tu wieje. Kolor wody i piasek są super, jak na północy. Dla amatorów ciszy i spokoju mogłaby to być rajska plaża, gdyby ją trochę posprzątać. Tak jak czytaliśmy rosną tu palmy, ale i tak Nungwi nam się lepiej podoba.

Po 18:00 jesteśmy w Stone Town. Tym razem jechaliśmy tylko godzinę. Do odpłynięcia promu mamy jeszcze dużo czasu, więc idziemy zjeść frytki i miejscową zupkę. Od 20:00 wpuszczają na prom (tym razem Aziza) a my jesteśmy pierwsi, bo chcemy zająć dobre miejsca. Okazuje się, że turystów jest tylko kilkunastu, więc każdy może zająć trzy miejscową kanapę, na której się dobrze wyśpi w nocy. Resztę wolnych kanap i podłogę zajmują lokalni, którzy nie mają pewnie biletów na pierwszą klasę (obowiązkową dla zagranicznych turystów).

30.08.2005, wtorek, Stone Town->Dar es Salaam (km 8700)->Arusha (km 9050)

Budzę się na wschód słońca i udaje mi się zrobić bardzo ciekawe zdjęcia. Nocny prom to był dobry pomysł, bo zaoszczędziliśmy na hotelu a spało się całkiem dobrze. Do Dar es Salaam dopływamy po 7:00, czyli z godzinnym opóźnieniem. Znajdujemy dala-dala na dworzec autobusowy Ubungu, który jest 8 km od centrum. Na dworcu otacza nas 10 naganiaczy, którzy próbują nas przekonać do kupna biletu w ich firmie. Wiemy jakie mają mniej więcej być ceny autobusów, więc wiemy, że nas próbują oszukać. Jest 8:45 a o 9:00 wyjeżdżają wszystkie autobusy do Arushy. Znajdujemy oficjalne biura znanych firm jak Scandinavia i Dar Express, które są trochę na uboczu. Ze Scandinavii naganiacze są wyganiani przez ochronę, co pokazuje jakość usług. Problem w tym, że Scandinavia jest najdroższa. Decydujemy się więc na Dar Express i równo o 9:00 wsiadamy do autobusu, który już jest przy bramie wyjeżdżającej.

Jak nie dać się oszukać przy kupnie biletu? Dobre firmy mają ustalone ceny, więc jeżeli da się coś utargować z ceny biletu to coś tu nie gra. Dobre firmy nie dają naganiaczom prowizji, co oznacza, że nie mają oni po co wchodzić do takiego biura a raczej zależy im, żeby turysta tam nie wszedł. Ostatnia rzecz to należy płacić po otrzymaniu biletu, ponieważ na bilecie jest prawdziwa cena, która może być niższa niż wynegocjowana.

W Arushy jesteśmy po 18:00, tak jak większość autobusów z Dar. Autobus był bardzo dobry, ale mogliśmy jechać prawie dwa razy taniej jakąś gorszą firmą. Jednak nie wiedzieliśmy, że wszystkie autobusy jadą mniej więcej tyle samo czasu. Następnie znajdujemy całkiem tani hotel (6\$). Idziemy rozglądać się po mieście za zorganizowanymi safari. Druga możliwość to wynajęcie samochodu terenowego za około 100\$/dzień, co się opłaca się, gdybyśmy znaleźli jeszcze dwie osoby do towarzystwa. Ku naszemu zdziwieniu w Arushy turystów jest bardzo mało. Spotykamy jedynie kilku w pizzerii. Jednak oni już byli na safari. Dowiadujemy się, że większość turystów płaci 100-120\$ za dzień safari. Przy takich cenach postanawiamy jechać tylko do Ngorongoro Crater, ponieważ to miejsce wszyscy nam polecali a słyszeliśmy o nim już w Polsce.

Prawie wszystkie biura turystyczne były już zamknięte a jedyną ofertą, jaką mieliśmy była oferta od naganiaczy, dzień w Ngorongoro za 150\$ od osoby. Ci sami naganiacze czekają na nas przed hotelem, gdy wracamy z pizzerii. Mówią, że mogą nas przyłączyć do dwóch osób, które dzisiaj były w Lake Manyara a jutro jadą do Ngorongoro. Wiemy, że oni są tylko pośrednikami, ale my nie jesteśmy sami w stanie znaleźć tej firmy. Chcą 150\$/os., ale widać, że im bardzo zależy. My mówimy, że taniej i lepiej będzie nam wynająć samochód. Mówimy też, że jedziemy do Kenii i tam możemy pojechać na tańsze safari. Po jakimś czasie schodzimy do 90\$/os. Cena jest już dobra. Trochę się boimy, że zabiorą pieniądze a wycieczki nie będzie. Z drugiej jednak strony oszczędzamy jeden dzień na szukanie safari. Decydujemy się, że pojedziemy, ale pieniądze zapłacimy jak zobaczymy samochód i ludzi.

31.08.2005, środa, Arusha->Ngorongoro Crater (km 9200)->Arusha (km 9350)

Wstajemy o 4:45, bo o 5:30 jedziemy na safari. Naciągacze chcą, żeby im zapłacić część pieniędzy już teraz. Rozmawiamy niby z szefem firmy, ale on jest raczej taksówkarzem niż szefem firmy. Nie zgadzamy się na zapłatę, bo wczoraj umawialiśmy się inaczej. Jednak jedziemy i około 7:30 jesteśmy na campingu przy Lake Manyara. Rzeczywiście jest samochód i są dwie Francuzki. Chcemy płacić pieniądze, ale naciągacz próbuje nas oszukać na obiedzie. Wczoraj wieczorem mówił, że będzie specjalnie dzwonić do kucharza. Przy 90\$ obiad to pestka, ale kłócimy się bardziej dla zasady. Trochę się zdenerwowaliśmy, ale mamy obiad.

Teraz podróżujemy Toyotą Landcruiser z kierowcą i dwoma Francuzkami. Francuzki są bardzo miłe i dobrze się z nimi rozmawia. Są zauroczone kierowcą, z którym wczoraj spędziły cały dzień. Kierowca jest rzeczywiście miły, ale strasznie wolno jedzie. Później się dowiadujemy, że ma ogranicznik do 60km/h. Dlatego dopiero o 9:30 jesteśmy przy bramie Ngorongoro. Później wjeżdżamy na szczyt krateru (tu przydaje się napęd na 4 koła), na punkt widokowy skąd jest przepiękny widok na cały krater. Następnie zjeżdżamy 200m w dół do wnętrza krateru. Po drodze mijamy Masajów pasących woły i inne zwierzęta. Jednak nie można robić im zdjęć (nawet z daleka), bo od razu wołają o pieniądze.

Krater Ngorongoro jest piękny nawet bez zwierząt. Ma średnicę 20km. W środku jest jezioro, które teraz jest wyschnięte i została po nim duża biała plama widoczna z daleka. Jest też duża zielona plama, czyli roślinność dookoła małego jeziora, które nie wysycha przez cały rok. W Ngorongoro nie ma dużo roślinności, więc wszystkie zwierzęta widać z daleka, jak na dłoni. Jednak zwierzęta boją się ludzi i nie jest łatwo się do nich zbliżyć. Jest tu zupełnie inaczej niż w Krugerze, gdzie zwierzęta stały przy drodze i nie zwracały uwagi na ludzi. W Ngorongoro jest też mniej zwierząt i mniej rodzajów zwierząt, jednak sceneria wynagradza wszystko. Nam udało się zaobserwować bawoły, strusie, guźce, szakale, gazy Thomsona, zebry, antylopy gnu. Tych ostatnich jest tu najwięcej, bo całe stada. Z bardzo daleka widzieliśmy też lwicę z małym lwiatkiem, lamparta i nosorożca. Chyba najciekawszym widokiem było to małe jezioro, rodzaj oazy na tej pustyni. Przy jezioru kręciły się hieny a w jeziorze siedziało kilkanaście hipopotamów, które od czasu do czasu przekręcały się w wodzie. W wodzie było też dużo różnych gatunków ptaków. Około 13:00 jechaliśmy na przerwę obiadową, gdy zobaczyliśmy kilka samochodów stojących w jednym miejscu. Okazało się, że stado lwów robi sobie tam popołudniowy odpoczynek.

Wycieczka do Ngorongoro była bardzo udana, jednak chcieliśmy tam spędzić cały dzień a nie tylko 3-4 godziny. Około 14:00 kierowca stwierdził, że musimy już jechać, bo do Arushy daleka droga. To jest najgorsze w zorganizowanym safari. Gościu był tu już setki razy i wcale mu nie zależy, żeby tu zostać tak długo jak to możliwe. Za to później wleliśmy się kilka godzin z prędkością 60 km/h do Arushy. Jedynym pocieszeniem może być to, że prawie wszyscy kierowcy tak robią, bo inni wyjeżdżali razem z nami. Pomimo tego był to jeden z naszych najlepszych dni w Afryce. Jedyny problem z Ngorongoro to piasek, który jest unoszony przez przejeżdżające samochody. Bardzo trzeba uważać na aparat fotograficzny, bo taki piasek potrafi zniszczyć aparat a przynajmniej porysować obiektyw lub wyświetlacz LCD.

01.09.2005, czwartek, Arusha->Arusha NP->Arusha (km 9450)

Ciężko jest dojechać do Arusha NP, jeżeli się nie ma samochodu. Dlatego umówiliśmy się z naszym wczorajszym kierowcą, tym razem bez pośredników, że zabierze nas do Arusha NP. Mamy zamiar wspiąć się do Mirikamba Hut (2600 mnpm), czyli tam gdzie kończy się pierwszy (z trzech) dzień wspinaczki na Mt Meru (4564 mnpm) i wrócić z powrotem.

Kierowca spóźnia się 15 min i o 6:15 jedziemy po Francuzki. Później w naszym samochodzie kończy się benzyna i musimy czekać, aż kierowca przyniesie benzynę w karnistrze (normalka, czyli afrykański profesjonalizm). Około 9:30 jesteśmy w Arusha NP. Czekając na przewodnika, robimy doskonałe zdjęcia żyrafom z małymi, na tle palm. Dostajemy z parku przewodnika z AK-47 (kałasznikowem) i o 9:45 wyruszamy na naszą wyprawę. Przewodnik mówi,

że nie jest możliwe dojście do Mirikamba Hut i powrót w jeden dzień. Mówimy, że nie musimy dochodzić do Mirikamba Hut, wystarczy viewpoint na Meru Crater. Jednak przewodnik proponuje nam walking safari, czyli chodzenie i oglądanie zwierząt oraz wodospadów. Nie za bardzo mamy wyjście, więc się zgadzamy. Co nas bardzo zaskoczyło, przewodnik jest bardzo profesjonalny, bardzo dobrze po angielsku, skończył prestiżową szkołę przewodników, w której studiują ludzie z całego świata.

Na początku naszego walking safari mijamy stado bawołów. Przewodnik mówi, że w razie ataku bawoła strzela w powietrze. Gdy bawół się nie zatrzyma, musi go zabić. Następnie oglądamy kilka różnych wodospadów. Przechodzimy także pod ogromnym drzewem, w którym jest dziura, przez którą przejeżdżają samochody. Następnie idziemy na viewpoint, z którego widać Klimandżaro, lecz dzisiaj jest zbyt dużo chmur i widzimy tylko kontury. W drodze powrotnej spotykamy turystów i okazuje się, że przeszliśmy większość drogi do viewpointu na Meru Crater i spokojnie dało się tam dojść. Nie wiemy dlaczego nasz przewodnik nas tam nie zabrał, ale kierowca powiedział, że mu się nie chciało i był zbyt leniwy. Bardzo długo i ciekawie rozmawialiśmy z przewodnikiem. Może rzeczywiście wolał sobie pogadać niż chodzić po górach. Potwierdzeniem tej teorii byli ludzie, którzy o 15:00 wychodzili do Mirikamba Hut, gdy my kończyliśmy nasze safari. Byli lepiej od nas przygotowani do chodzenia w górach, ale jak oni przed zmrokiem (po 18:00) muszą dojść po górę do Mirikamba Hut, to my też mogliśmy od rana spokojnie tam dojść i wrócić.

W przewodniku Mt Meru było opisane jako dużo ładniejsze i ciekawsze niż Kilimandżaro, ale my jesteśmy trochę zawiedzeni. Na szczęście nasz kierowca zabiera nas do Momela Lakes (w obrębie Arusha NP), gdzie możemy zobaczyć setki flamingów. Oglądamy też guzce, które śmiesznie klękają aby poskubać trawę oraz antylopy waterbuck, które żyją blisko wody. Przy jeziorze widzimy też żyrafy, których sylwetki odbijają się w wodzie jeziora.

02.09.2005, piątek, Arusha->Nairobi (km 9700)

Podobno Nairobi a szczególnie dworzec autobusowy w Nairobi to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc w Afryce. Więc wczoraj wieczorem kupiliśmy bilet na shuttle do Nairobi, które jest szybsze i dojeżdża do centrum a nie na dworzec autobusowy. Chcieli 20\$, ale wytargowaliśmy się do ceny, którą płacą miejscowi, czyli około 9\$.

Chyba rzeczywiście dworzec autobusowy jest niebezpieczny, bo razem z nami jechali głównie miejscowi. Na granicy kierowca pomagał wszystkim turystom przejść przez odprawę, dlatego wszystko poszło bardzo szybko. Przed 15:00 byliśmy już w Nairobi. Naszym głównym zadaniem w Nairobi jest załatwienie wizy do Etiopii (jedyna podczas tej podróży, której nie można dostać na granicy). Jednak ambasada była już zamknięta. Będzie otwarta dopiero w poniedziałek rano. Na szczęście na wizę czeka się tylko 1h.

W Kenii myślimy o zobaczeniu Maasai Mara i Lake Nakuru. Po znalezieniu hotelu zaczęliśmy chodzić po biurach turystycznych. Okazało się, że nie da się zrobić jednodniowej wycieczki do Maasai Mara, bo jest tam za daleko. Lake Nakuru nie wyglądało zbyt dobrze na zdjęciach a flamingi widzieliśmy w Arusha NP., więc zdecydowaliśmy się na dwudniową wycieczkę do Maasai Mara. W biurach turystycznych chcieli 65-70\$/dzień. Stwierdziliśmy, że nie będziemy płacić 130\$ za kilka godzin oglądania zwierząt. Postanowiliśmy zapłacić 100\$, albo nie jechać wcale (wtedy możemy sami pojechać do miejscowości Nakuru, skąd można znaleźć tanią wycieczkę do Lake Nakuru). W jednym z biur się nie zgodzili na nasze 100\$, ale jeden z naganiaczy zaprowadził nas do biura (Primetime Safari), w którym przyjęli naszą ofertę 50\$/dzień. Dodatkowo dostaliśmy darmowy nocleg po powrocie z wycieczki.

03.09.2005, sobota, Nairobi->Maasai Mara (km 9950)

O 9:00 jedziemy w kierunku Maasai Mara. Do Maasai Mara jest tylko 250km, ale połowa drogi nie ma asfaltu. Po drodze zatrzymujemy się w Narok na obiad (taki sobie, ale wliczony w cenę safari).

Gdy się skończył asfalt, łapiemy gumę, ale kierowca dość sprawnie wymienia koło. Na miejscu jesteśmy koło 16:00 i mamy jeszcze w planie wieczorne safari. Jest tylko jeden problem, że ostro pada deszcz. Podobno o tej porze roku pada tu co wieczór. Pomimo tego jedziemy na safari. Po jakimś czasie przestaje padać, więc otwieramy rozkładany dach w naszym minibusie. Widzimy różne rodzaje antylop. Najwięcej jest antylop gnu, które jak co roku o tej porze przyszły tu z Serengeti. Widzimy też lwicę z małymi, które spożywają świeżo upolowaną antyloponę gnu. Robimy też ładne zdjęcia z antylopami i tęczą, która powstała po deszczu. Znowu nie jesteśmy zadowoleni z kierowcy, który trzyma się środka parku, gdzie nic ciekawego nie ma. Gdy zbliża się 18:00 wszystkie samochody, jakby miały budziki kierują się w stronę wyjazdu z Maasai Mara.

Przez cały wyjazd nie spotkaliśmy żadnych Polaków, aż do wczoraj. Wczoraj spotkaliśmy dwóch Polaków, którzy poznali nas bo miałem koszulkę z napisem Wrocław. Okazało się, że też jadą do Maasai Mara, ale z inną firmą. Spotkaliśmy ich znowu dzisiaj na obiedzie. Za to na kolacji spotkaliśmy trójkę Polaków, którzy tu przyjechali dzień przed nami. Okazuje się, że jutro będziemy z nimi wracać do Nairobi. Mieszkają też we Wrocławiu...

04.09.2005, niedziela, Maasai Mara->Nairobi (km 10200)

Wstajemy przed świtem, bo o 6:30 jest wyjazd na poranne safari. Jedziemy z wczoraj poznanymi Polakami i z innym kierowcą. Jest nas pięciu Polaków i jedna Niemka. Maasai Mara przypomina Ngorongoro Crater — podobna roślinność, zwierzęta widać z daleka. Oglądamy tysiące antylop gnu, które przyszły tu z Tanzanii. Widzimy niektóre jak idą za pierwszą w sznureczku, niektóre biegają bardzo szybko po trawie. Czasami między antylopami gnu pasą się zebry. Z innych zwierząt oglądamy antylopy Thomsona, dik-diki, szakale, sępy, strusie, senatora (ptak), lwy. Spotykamy chyba te same lwy co wczoraj, konsumujące upolowane gnu. Widzimy także jak na zboczu góry czai się lew i spogląda w stronę stada gnu. Z ciekawszych zdarzeń, widzimy żyrafę przy wodopoju. Ponieważ jest bardzo wysoka musi rozstawić szeroko nogi, aby się napić wody, co bardzo śmiesznie wygląda. Chętnie zostalibyśmy tu dłużej, ale około 9:00 kierowca kieruje się w stronę bramy Maasai Mara. W biurze mówili, że będziemy jeździć do 10:30. Na campingu musimy czekać na śniadanie i dopiero po 10:00 wyjeżdżamy. Okazuje się, że mamy dużo wolnego czasu, bo możemy jechać do wioski Masajów. Wstęp kosztuje 10\$/os., ale możemy robić zdjęcia wszystkim jej mieszkańcom. Oglądamy śpiewy i tańce kobiet, później mężczyzn. Zostajemy zaproszeni do jednej z chat, gdzie dowiadujemy się trochę o kulturze Masajów. Pierwsza żona jest wybierana przez rodziców i rodzice dają krowy, którymi się za nią płaci. Następne żony (jak go stać) Masaj wybiera sobie sam. Z ciekawszych rzeczy, to wioska Masajów jest po 7 latach mieszkania opuszczana (chatki dużo więcej nie wytrzymają) i Masajowie budują następną. Podobno każdy Masaj mężczyzna musi zabić lwa. Masajowie są bardzo obrotni i próbują nam sprzedać kły lwa, jako wisiorki. Kły są bardzo ciężkie i wyglądają na oryginalne. Zastanawiamy się tylko czy czasem nie pochodzą ze lwa upolowanego w sąsiadującym parku narodowym Maasai Mara. Z masajskiej chatki zostajemy zaprowadzeni na targ, na którym turyści mogą kupić wiele różnych pamiątek związanych z Afryką i z Masajami. Widać, że Masajowie żyją teraz głównie z turystów. Wszyscy tu mówią po angielsku i śmiesznie wyglądają w ich kraciastych, czerwono-czarnych kocach i zegarkach na ręce.

W drodze do Nairobi zatrzymujemy się w Narok na obiad. Dowiadujemy się tam, że inni turyści z naszego kempingu mieli straszne kłopoty. Kierowcy wraz z samochodami nie są pracownikami Primetime Safari, tylko są wynajmowani w razie potrzeby. Kierowca z drugiego minibusa dostał o jeden bilet wstępu do Maasai Mara mniej niż było turystów. Zorientował się za późno i wjeżdżał do Maasai Mara na oko, aby ominąć bramę i strażników (znowu ten profesjonalizm po afrykańsku :). Później jechali także inną trasą w kierunku Nairobi, bo po drodze są posterunki, na których policjanci mogą sprawdzać bilety. Słyszeliśmy też później w Nairobi, jak kierowcy skarżą się, że im Primetime Safari nie zapłaciło. Cieszymy się, że my nie mieliśmy żadnych kłopotów i safari się odbyło.

W Nairobi byliśmy o 17:00, więc zdążyliśmy jeszcze zrobić zakupy w supermarkecie. Zostajemy na noc w hotelu, który okazuje się trzema pokojami obok biura Primetime Safari. Najważniejsze, że nocujemy za darmo :)

05.09.2005, poniedziałek, Nairobi->Marsabit (km 10700)

Wstajemy rano, bo już się tak przyzwyczailiśmy. Dopiero o 10:00 otwierają etiopską ambasadę, więc mamy dużo wolnego czasu i idziemy tam na pieszo. Wizę dostajemy nawet szybciej niż w godzinę. Dodatkowo dowiadujemy się, że nie musimy jechać dwa dni na pacy ciężarówce do etiopskiej granicy, jak opisują wszystkie przewodniki. Od niedawna jeździ bezpośredni autobus do Moyale, który jedzie tylko jeden dzień. Autobus wyjeżdża codziennie o 16:00 z 10th Street w dzielnicy Eastleigh. Idziemy do hotelu i dowiadujemy się, że musimy pojechać minibusem (matatu) numer 9 z Tom Mboya Street, aby dojechać do Eastleigh. Jesteśmy tam po południu. Kupujemy bilet na autobus. Dostajemy słabe miejsca, ponieważ prawie wszystkie miejsca już są zajęte. Następnie idziemy coś zjeść. Później, dla zabicia czasu, idziemy na internet.

Ku naszemu zaskoczeniu, wyjeżdżamy zgodnie z planem o 16:00. Do Isiolo wszystko jest w porządku, ale później asfalt się kończy. Droga jest fatalna a autobus jedzie około 50km/h, co odczuwamy na własnych kościach. Co kilka godzin mamy postój, ale pomimo tego jest to jedna z najgorszych podróży w naszym życiu.

06.09.2005, wtorek, Marsabit->Moyale (km 10900)

Jedziemy całą noc. Droga jest taka, że bardzo ciężko jest zasnąć. Rano jesteśmy przed Marsabit. Od Marsabit krajobraz się zmienia, zaczyna się pustynia. Nie widzimy prawie żadnych miast i wiosek po drodze. Za to z za okien widzimy setki wielbłądów. O 15:00, czyli po 23h jazdy, dojeżdżamy do Moyale. Przekraczamy granicę z Etiopią. Musimy wypełniać dużo papierków, ale wszystko idzie dość szybko. Następnie szukamy miejsca, gdzie możemy wymienić pieniądze. Na granicy chcą nam wymienić 10 szylingów kenijskich za 1 birra etiopskiego. Wiemy, jaki powinien być kurs, więc się nie zgadzamy. Zresztą, kto uwierzy, że przelicznik jest dokładnie 10:1. Wymieniamy pieniądze po lepszym kursie i szukamy hotelu. Później dowiadujemy się o jutrzejszy autobus. Słyszeliśmy, że wszystkie autobusy w Etiopii odjeżdżają o 6:00 rano i ten także. Jednak trzeba być o 5:00 jak otwierają bramy dworca autobusowego, żeby kupić bilety i być pewnym miejsca w autobusie.

Po przekroczeniu granicy od razu widać, że Etiopia jest najbiedniejszym krajem w naszej podróży. Z drugiej strony jest także najtańszym krajem, co jest bardzo dobre, ponieważ nasze fundusze są już na wyczerpaniu.

Słyszeliśmy jeszcze w Polsce, że w Etiopii jest inny czas. I to się zgadza. Miejscowa doba zaczyna się od wschodu słońca, czyli od 6:00 naszego czasu. Przelicznik jest łatwy, wystarczy od naszego czasu odjąć 6 godzin i mamy czas etiopski. Etiopia ma też inny kalendarz. Teraz jest tam rok 1997 a nowy rok jest 11 sierpnia. Rok kalendarzowy jednak ma tak jak u nas 365 dni. Dzieli się on na 12 miesięcy po 30 dni i 13 miesiąc, trwający 5 dni. Dlatego na plakatach reklamowych Etiopii jest hasło „Etiopia - 13 miesięcy słońca”.

07.09.2005, środa, Moyale->Konso (km 11200)

Wstajemy o 4:30 i o 5:00 jesteśmy pod bramą dworca autobusowego. Zajmujemy miejsca w autobusie, ładujemy plecaki na dach i o 6:00 wyjeżdżamy. Daleko nie pojechaliśmy, bo za miastem jest posterunek policji, na którym wszyscy pasażerowie muszą wysiąść z autobusu. Żołnierze szukają w autobusie towarów przemycanych przez granicę. Coś tam znaleźli i wynoszą na posterunek. Wszystko trwa około godzinę i później jedziemy dalej.

Przód autobusu przyozdobiony jest lampkami i religijnymi obrazkami. Wszystko wygląda jak mały ołtarzyk. Przypominają nam się stare dobre czasy Meksyku i Gwatemali, gdzie widzieliśmy podobne ołtarzyki w autobusach. Od razu widać, że jesteśmy w kraju chrześcijańskim.

Przyglądamy się też ludziom. Wcześniej wydawało nam się, że wszyscy Murzyni mają taki sam kolor skóry. Tu widać, że to nie prawda. Etiopczycy nie są czarni, jak ludzie we wcześniejszych krajach, są bardziej brązowi. Prawdopodobnie z powodu wymieszania się Etiopczyków z sąsiadami, którzy w większości są Arabami. Nasze rozmyślania zaczęły się od Etiopczyka — Murzyna, który miał zielone oczy. Jest to raczej niespotykane i ten kontrast bardzo rzuca się w oczy.

O 11:30 jesteśmy w Yabelo. Bierzymy gari (konna taksówka) na przystanek autobusu do Konso, który jest dosyć daleko. Autobus odjeżdża o 13:00, więc mamy dużo wolnego czasu. Idziemy zrobić zakupy i zjeść obiad. Na obiad jemy narodowy przysmak, czyli indżirę (kwaśny placek, w rodzaju naleśnika, ze zboża, które rośnie tylko w Etiopii). Etiopczycy jedzą indżirę na śniadanie, obiad i kolację. Nie jest ona za bardzo smaczna, ale najlepiej podoba nam się cena (80gr i jeszcze kawa gratis :).

Standardowym zachowaniem ludzi w Etiopii, szczególnie dzieci, jak widzą białego turystę jest krzyczenie „you” („ty” po angielsku) lub „farandzi” („obcokrajowiec” po amarycku). Dużo dzieci żebrze też o pieniądze „give me one birr” („daj mi jednego birra” (1 birr=40 groszy)). Nie lubimy dawać pieniędzy, ponieważ nie jesteśmy pewni na jaki cel zostaną one przeznaczone. Niektórzy też nie potrzebują pieniędzy a żebranie traktują jako zawód. Jednak jeżeli ktoś prosi o jedzenie to nie odmawiamy. W Etiopii zaczyna się także zjawisko zwane ceny dla turystów. Niektórzy widząc białego podają cenę nawet dwukrotnie wyższą niż rzeczywistość (woda kosztuje 5 birrów; niektórzy chcą od nas 10 birrów, inni 7 lub 6 birrów). Staramy jednak poznać wszystkie ceny i nie dać się oszukiwać.

Od 13:00 siedzimy w autobusie, ale tu jest Afryka i autobus odjeżdża koło 14:00. W autobusie prawie wszyscy żują chat (liście, które zawierają rodzaj narkotyku, nielegalne w większości krajów). Dzisiaj była świeża dostawa i prawie każdy ma swoją siateczkę z liśćmi. Oczywiście współpasażerowie chcą się z nami podzielić, ale nie mamy dzisiaj na to ochoty. Po drodze widzimy bardzo ładne krajobrazy, szczególnie góry. Jedziemy drogą bez asfaltu, po drogach usypanych na zboczach gór. Krajobraz jest zupełnie inny niż w poprzednich krajach naszej wyprawy. Wydaje mi się, że po deszczu taka droga jest nie przejezdna. Już wiemy dlaczego wszyscy piszą, że podróżowanie w Etiopii jest bardzo powolne. Po 17:00 jesteśmy w Konso. O tej godzinie nie ma szansy na transport do Jinka, więc szukamy hotelu i idziemy na kolację.

08.09.2005, czwartek, Konso->Jinka (km 11300)

Autobus do Jinka wyjeżdża o 6:00 rano z Arba Minch. W Konso będzie po 9:00, więc nie musimy rano szybko wstawać. Pierwszy autobus, który przyjeżdża jest pełny i musimy jechać drugim. Kierowcy z drugiego autobusu wykorzystują fakt, że ludzie nie mają wyboru i muszą jechać z nimi i życzą sobie więcej za bilet (zarówno od turystów jak i miejscowych). Jednak autobus zapamiętaliśmy bardzo dobrze. Najpierw rozmawialiśmy z jednym Etiopczykiem, który poprosił nas o nasz adres. Później, podczas jazdy jeden z pasażerów zaczął tańczyć w rytm etiopskiej muzyki a inni pasażerowie zaczęli klaskać. Widzieliśmy takie coś po raz pierwszy i bardzo nam się podobało.

Droga do Jinki jest podobna do wczorajszej. Jedziemy drogą bez asfaltu, przez góry, przejeżdżamy przez koryta rzek (czasami dosyć głębokich), bo mostów prawie tu nie ma. W Jinka mają być ciekawe etiopskie plemiona, ale już po drodze jest ciekawie. Widzimy zza szyb autobusu chłopców, którzy latają na golasa, a zasłaniają się tylko przy przejeżdżającym autobusie. Widzimy dużo mężczyzn chodzących w samych przepaskach, jak w czytaniach z Biblii. Mijamy chłopców pomalowanych na całym ciele, że wyglądają jak Indianie na ścieżce wojennej. W połowie drogi mamy przystanek. Mamy szczęście, ponieważ w tym mieście jest dzisiaj dzień targowy i mamy możliwość oglądać plemion, które przyszły tu na targ z sąsiednich wiosek. Są to głównie Bana i Hammer. Kobiety mają włosy plecione jak dredy, noszą naszyjniki z kolorowych koralików we

wzory i skórzane przepaski z setkami muszelek. Mężczyźni mają ciekawie wygolone głowy i noszą opaski i wisiorki z kolorowych koralików.

Około 15:30 jesteśmy w Jinka. W okolicach Jinka mieszka bardzo dużo różnych plemion, ale najciekawsze są Mursi. Od razu po przyjeździe widzimy dwie kobiety Mursi. Są bardzo szczupłe, wysokie jak Amazonki, mają skórę ciemniejszą niż Etiopczycy i nagie piersi. Mursi słyną z tego, że robią sobie nacięcie pod wargami i w powstałej szparze umieszczają drewniane krążki. Krążki są z czasem coraz większe aż do rozmiaru około 10cm. Kobiety, które widzieliśmy miały zdjęte krążki, ale widać było mocna rozciągnięte wargi.

W szukaniu hotelu w Jinka pomagają nam Etiopskie dzieci. Ku naszemu zaskoczeniu bardzo dobrze mówią po angielsku. Spodziewamy się, że będą chciały od nas pieniędzy, ale nic im nie obiecujemy. Po znalezieniu hotelu, dzieciaki pokazują nam targ i pomagają kupić owoce (dzieciaki dostają po cenach dla miejscowych). Idziemy też do restauracji, gdzie chcemy zamówić coś innego niż indżera. Kelner proponuje, że kucharz przygotuje nam jajko zmieszane z serem. Zamawiamy. Zobaczymy co to będzie. Okazuje się, że jest to ser kozi, ale potrawę da się zjeść. Nasi przewodnicy (dzieciaki) przystępują do natarcia. Mówią, że potrzebują słownika angielskiego i akurat tu blisko jest księgarnia... Odpowiadam im, że mam dużo słowników w Polsce i mogę im wysłać. Od tego czasu przestają mówić o słowniku, ale chcą od nas pieniądze za oprowadzanie po mieście. Chcą 20 birów, ale dostają po 2 birry (80 gr), co jest i tak sporo jak na etiopskie standardy.

Mijają już dwa dni jak jesteśmy w Etiopii, ale nie spotkaliśmy żadnego turysty w autobusie. Do Jinki turyści przyjeżdżają głównie z Arba Minch lub Addis Ababy, samochodami terenowymi. Szukając transportu do Mago National Park (wioski Mursi) spotkaliśmy turystów z Izraela, którzy podróżowali w czwórkę (plus kierowca w cenie) i zapłacili za 8 dniową wycieczkę po 600\$/os. To jest więcej niż się płaci za safari w Kenii. Do tego należy pamiętać, że około 3-4 dni trwa podróż w dwie strony do Addis Ababy. Przez takich turystów ceny są bardzo wysokie i nie jest dziwne, że za wynajęcie samochodu (z kierowcą) w Jinka chcieli od nas 100\$. Do tego dochodzi około 20\$/os. za różne opłaty (wstępy). Trochę drogo jak na oglądanie jednej wioski. Słyszeliśmy też, że co sobotę jest wielki targ, na którym także można zobaczyć Mursi. Jednak zdarzyła nam się okazja. Spotkaliśmy Amerykanina, który sam wynajął samochód (z kierowcą) i zgodził się, że nas weźmie za połowę ceny wynajęcia samochodu (50\$/2 os.). Umówiliśmy się na 8:00 rano. Amerykanin był sprytniejszy od Izraelczyków, bo wracał samolotem do Addis Ababy a pewnie jego wycieczka była tańsza.

09.09.2005, piątek, Jinka->Arba Minch (km 11550)

Słyszeliśmy, że do Mago National Park nie można dojechać nawet samochodem terenowym, gdy jest mokro. W Etiopii jest teraz pora deszczowa i prawie codziennie pada (na szczęście w nocy). Tej nocy lało prawie bez przerwy, nawet ciężko było zasnąć, więc stwierdziliśmy, że raczej Amerykanin nie pojedzie oglądać plemię Mursi. Aby nie tracić dnia, spakowaliśmy się i wstaliśmy na autobus o 6:00. Nie mieliśmy możliwości porozmawiać z Amerykaninem, ale stwierdziliśmy, że domyśli się o co chodziło.

Autobusowi, którym jedziemy, psują się hamulce, przez co mamy przymusowy postój w jednej z wioski. Wykorzystujemy ten czas na robienie zdjęć kobietom i dzieciom z plemienia Bana. Wszyscy są tu nauczeni wołać pieniądze od turystów za zdjęcia. Chcemy mieć dobre zdjęcia, więc płacimy za każde zdjęcie około 80 gr. Wolałbym zapłacić jednorazową sumę, coś jak wstęp do wioski Masajów, ponieważ płacenie za każde zdjęcie powoduje, że zdjęcia są pozowane, trochę sztuczne. Po kilku zdjęciach kończą się nam drobne pieniądze i próbuje wykorzystać duży zoom do robienia zdjęć z ukrycia, z daleka. Mamy tu dużo czasu, ponieważ wyjeżdżamy dopiero po 2h.

Żeby było ciekawiej przed Konso złapaliśmy gumę i straciliśmy kolejne 30 min. Autobus ma dłuższy przystanek w Konso, które jest największym miastem na drodze do Arba Minch. Wszyscy wysiadają z autobusu. Mamy czas aż kierowca wróci, czyli skończy jeść obiad. Niektórzy

idą jeść, my zostajemy przy autobusie. Etiopczycy przyglądają nam się z zaciekawieniem. Czujemy się trochę jak okazy w zoo. Najśmieszniejsze dla nas są spojrzenia dwóch przechodzących mężczyzn w spódniczkach. Oni nie są tu atrakcją turystyczną, tylko my :)

Zza szyb autobusu nigdy nie jest nudno. Za Konso oglądamy strumyk, w którym kobiety robią pranie. Widzimy też kilku namydlonych mężczyzn, w samych majtkach, którzy biorą tu kąpiel. Przed zachodem słońca dojeżdżamy do Arba Minch. Jeden z Etiopczyków rozpoznał, że rozmawiamy po Polsku. Mówi, że ma przyjaciół z Polski, z Jeleniej Góry. Dzięki temu dajemy mu się zaprowadzić do hotelu, którego właścicielem jest podobno jego ojciec. Wniosek: warto uczyć się języków :) Arba Minch jest całkiem dużym miastem. Co nas zaskoczyło, są tu latarnie a ulice pokryte są asfaltem, od którego już odwykliśmy :) Wieczorem idziemy na obiadokolację (szukamy czegoś bez indżiry; jemy spaghetti i rybę).

10.09.2005, sobota, Arba Minch->Addis Ababa (km 12050)

Jesteśmy o 5:00 rano przed bramami dworca autobusowego. Po otwarciu bram setki ludzi rzucają się w kierunku autobusów. Będą siedzieli na takim miejscu, jakie sobie teraz wywalczą. Miejsce ma duże znaczenie przy drogach bez asfaltu, gdzie tył autobusu strasznie podskakuje na dziurach.

Tym razem oprócz pasażerów podróżuje z nami kilka kur i kogutów. Widzieliśmy już podróżujące z nami kury, ale były zamknięte w siatkach lub kartonach. Teraz kury chodzą między nogami. Ciekawe klimaty, dodatkowo co jakiś czas kogut zaczyna pisać w jadącym autobusie. Na jednym z przystanków kury robią bałagan i część z nich zostaje przywiązana za nogi a inne są eksmitowane na dach autobusu.

Z Arba Minch droga była dobra (cały czas był asfalt), ale było też 500km do przejechania, więc dopiero po 18:00 jesteśmy w stolicy. Pół godziny trwa jeszcze przejazd przez miasto i wysiadamy z autobusu jak jest ciemno. Bardzo niedobrze dla nas, bo niebezpiecznie. Staraliśmy się jak najszybciej znaleźć hotel, co nam się udaje. Pasuje nam hotel przy dworcu autobusowym, ponieważ jutro rano jedziemy do Bahir Dar, a Addis Ababę będziemy zwiedzać przed naszym wylotem do Polski. Recepcjonistka nie gada po angielsku, ale student Etiopczyk pomaga nam w załatwieniu formalności. Później student prowadzi nas do restauracji, gdzie można zjeść europejskie potrawy. Restauracja jest ekskluzywna, kto by pomyślał, że mają takie w Etiopii. Jednak ceny potraw są tańsze niż w polskich barach. Jemy spaghetti i omlet, które staną się naszymi głównymi posiłkami w Etiopii.

Ludzie są w Etiopii bardzo biedni i biały człowiek wygląda dla nich jak wielka skarbonka. Student jest chyba pierwszą osobą w Etiopii, która nie chce od nas pieniędzy. Dajemy mu na pamiątkę polskie 2 zł. On za to bierze od nas nasz adres w Polsce. Ciekawe po co im te adresy? Na żadnym innym kontynencie nie chcieli od nas adresów, a w Afryce daliśmy już nasz adres kilka razy i kilka adresów dostaliśmy. Do osób, które dały nam też swój adres e-mail napiszemy i wyślemy zdjęcia.

11.09.2005, niedziela, Addis Ababa->Denge (km 12500)

Jak codziennie, wstaje przed świtem słońca, żeby wyjechać autobusem o 6:00. Po drodze mamy przystanek śniadaniowy, na którym można kupić bułki i herbatę. Za herbatę płacimy 35 centów (14 groszy). Zwykle w restauracjach herbata kosztuje 50 centów, ale „farandzi” płacą 1 birra (40 groszy), co i tak jest dla nas tanio. Jednakże nie lubimy przepłacać, szczególnie dlatego, żeby inni turyści nie musieli w przyszłości przepłacać, bo komuś udało się nas oszukać.

W każdym autobusie, którym jechaliśmy leci ta sama, etiopska muzyka. Na początku nas denerwowała, ale teraz się przyzwyczailiśmy i nam się podoba. Niektórzy pasażerowie śpiewają razem z wokalistą. Dzisiaj widzimy jak dwóch mężczyzn (jeden na przodzie, jeden z tyłu autobusu) tańczy w rytm muzyki a inni pasażerowie klaszczą. Większość turystów podróżuje po Etiopii samolotami i nie wie co traci. Jeżeli chodzi o samą muzykę, to okazało się, że wszystkie znane

przeboje pochodzą z najnowszej (trzeciej) płyty Teddiego Afro. Podobno wszystkie piosenki są o polityce, przeciw rządowi, co dodatkowo zwiększa popularność tego piosenkarza.

Na przystanku obiadowym udaje nam się zamówić (ciężko się dogadać) omlet. Następnie ruszamy w stronę kanionu Blue Nile Gorge, który jest porównywany z Wielkim Kanionem w Arizonie. Zjeżdżamy powoli krętymi drogami w dół kanionu. Widoki są super. W dole widać most, którym będziemy przekraczać Nil Błękitny. Etiopczycy mówią, żeby schował aparat, bo nie można robić zdjęć mostu. Jeżeli żołnierze pilnujący mostu zobaczą, że robię zdjęcia mogą mi zabrać aparat. Najciekawsze jest to, że następnego dnia widzę widokówkę z tym mostem. Zresztą też mi się udało zrobić zdjęcie przed schowaniem aparatu. Za szybami zmienia się roślinność. Widzimy góry i łąki, ale już nie takie suche. Tutaj wszystko jest w różnych odcieniach zieleni, pierwszy raz od naszego przyjazdu do Afryki.

W autobusie poznajemy nauczyciela angielskiego. Korzystamy z okazji i próbujemy się dowiedzieć np. jak dojechać do Gonderu, Lalibeli, ponieważ znajomość angielskiego w Etiopii jest nie najlepsza. Okazuje się, że nasz autobus nie dojedzie dzisiaj do Bahir Dar. Dojedziemy około 100 km bliżej, ponieważ kierowca i bileter spodziewają się większej ilości pasażerów jutro rano. Dzisiaj w Etiopii jest Nowy Rok. Nauczycielowi zależy, żeby dojechać do Bahir Dar, gdzie czeka na niego rodzina ze świąteczną kolacją. Postanawiamy przyłączyć się do nauczyciela i próbować dojechać dzisiaj do Bahir Dar. Dojeżdżamy do Denge, 50 km od Bahir Dar. Stąd nie ma już dzisiaj transportu do Bahir Dar. Możemy z samego rana pojechać minibusem do Bahir Dar lub wstać koło 7:00 i czekać na nasz autobus, który będzie przejeżdżał tędy do Bahir Dar. Znajdujemy nasz najtańszy hotel w życiu (1\$) i idziemy na kolację. Podłoga restauracji wyścielona jest skoszoną trawą, co jest tutejszym noworocznym zwyczajem. Przy pomocy nauczyciela zamawiamy jajecznicę i jajecznicę z mięsem. Oglądamy w telewizji obchody Nowego Roku w Addis Ababie. Nauczyciel zaprasza nas jutro w odwiedziny do swojego domu.

12.09.2005, poniedziałek, Denge->Bahir Dar (km 12550)

Mija już siedem dni z rzędu, które spędziliśmy w autobusach. Magda źle się czuje i to chyba jest tego głównym powodem. Znajomy nauczyciel chce jak najszybciej być w Bahir Dar, ale my postanawiamy się wreszcie wyspać. Pojechał bez nas, bo wiedział o kłopotach zdrowotnych Magdy. Wstajemy koło 7:00 (zawsze to dwie godziny dłużej spania) i czekamy na nasz autobus. Przejeżdżają inne autobusy, ale my mamy wykupiony bilet i czekamy na nasz autobus. Udaje nam się go znaleźć. Bileter od razu nas poznaje i się uśmiecha.

O 9:00 jesteśmy Bahir Dar. Szybko znajdujemy hotel i idziemy do Ghion Hotel, który według naszego przewodnika organizuje rejsy do klasztorów na jeziorze Tana. Okazuje się, że za pół godziny jest rejs, więc targujemy się do 8\$/os. i wypływamy. Naszymi towarzyszami jest m.in. Amerykanin i jego etiopska żona. Najpierw płyniemy do Zege do klasztoru Ura Kidane Mihiret. W Etiopii dominują dwie religie muzułmanie i Etiopski Kościół Ortodoksyjny. Etiopski Kościół Ortodoksyjny podlega papieżowi i jest najbliższym kościołem do rzymsko-katolickiego. Różni się głównie liturgią. Czekamy na mnicha, który ma klucze do klasztoru i otwiera nam drzwi. Przed wejściem należy ściągnąć buty. W środku widzimy malowidła naścienne przedstawiające sceny z Biblii. Z klasztoru idziemy do muzeum (drewniana szopa), które zawiera kilkusetletnie wydanie Pisma Świętego w języku geez i równie stare korony królewskie. Można też skorzystać z błogosławieństwa mnicha, który przykłada krzyża do czoła osoby błogosławionej. Następnie płyniemy do klasztoru Kibran Gebriel na wyspie. Tu mają wstęp wyłącznie mężczyźni. Spotykamy tu mnicha, który jest bardzo miły i bardzo dobrze mówi po angielsku. Zostajemy zaproszeni do wieży, w której znajdują się kilkusetletnie księgi, krzyże i ikony. Oglądamy Nowy Testament w języku geez (obecnie w Etiopii mówi się po amarycku) z ilustracjami. Później zwiedzamy klasztor, w którym większość malowideł jest zasłonięta i trzeba pociągać za specjalne sznurki, aby je odsłonić. Może i malowidła są bardzo stare, ale niezbyt dobrze zachowane. Po około godzinie wracamy do znużonych kobiet i płyniemy do klasztoru Intos Mariam. Tutaj wszystkie malowidła

są odnowione i mają tak żywe kolory jak z komiksu. Przyglądamy się szczególnie widokowi trzech starców z aureolami. Tak Etiopczycy przedstawiają Trójkę św. Bardzo ciekawa jest też scena zaśnięcia Maryi. Otacza ją 12 apostołów. Na tym samym obrazie można zauważyć Jezusa trzymającego w objęciach wniebowziętą Maryję, analogicznie jak u nas jest przedstawiana Maryja z dzieciątkiem Jezus. Na ścianach oprócz scen z Biblii zauważamy także sceny (np. zabicie ryby), które okazują się etiopskimi legendami.

Klasztory były bardzo ciekawe i już nie możemy doczekać się dalszej części, czyli Lalibeli (13-wieczne kościoły wykute w skale). Zrobiliśmy tak dużo zdjęć, że musimy je znowu nagrać na płytę CD. Po powrocie szukamy miejsca, gdzie to można zrobić. Nie jest to łatwe, ale po około godzinie znajdujemy studio fotograficzne, które ma komputer i nagrywarke. Nagrywanie zajmuje ponad 2h, bo chłopak, który obsługuje komputer nie za bardzo się na tym zna (np. nie umie obsługiwać Nero). Ostatecznie robię wszystko sam i możemy iść na obiado-kolację (tym razem spaghetti i ryba).

13.09.2005, wtorek, Bahir Dar->Gondar (km 12750)

Rano jedziemy autobusem do Tis Abay. Jest to miejscowość, przy której znajdują się drugie co do wielkości wodospady w Afryce na Nilu Błękitnym (Tis Isat). Na początku autobus wjeżdża na stację benzynową, żeby zatankować. Zdażyliśmy się do tego przyzwyczaić, bo już kilka razy nas to spotkało. Dlaczego kierowca nie zatankował wcześniej? Może bał się, że mu w nocy paliwo wyparuje :) To Tis Abay jest tylko 30 km, ale jedziemy tam około godzinę, bo droga nie jest asfaltowa. W autobusie rzucają nam się w oczy kobiety, które mają wytatuowane krzyże. Później dowiadujemy się, że są to permanentne tatuaże, które może sobie zrobić kobieta jeszcze przed ślubem.

W Tis Abay kupujemy bilet na wodospady (jest zniżka na legitymację ISIC). Przewodnicy próbują nam wmówić, że bardzo ciężko jest trafić do wodospadów, ale nie chcemy skorzystać z ich odpłatnej pomocy. Aby trafić do wodospadów wykorzystujemy szczątkowe informacje z przewodnika, własną orientację w terenie i pomoc przechodzących ludzi. Rzeczywiście jest jedno miejsce, gdzie z pewnością moglibyśmy zabłądzić, ale prowadzi nas chłopak, który niesie picie. Umówiliśmy się z nim, że jeżeli będzie nam się chciało pić to kupimy to picie od niego. Dojście do wodospadów zajmuje około 30 minut. Pod koniec trzeba podejść pod całkiem wysoką górę, z której jest punkt widokowy na wodospady. W nocy padał deszcz, dlatego droga jest błotnista. Wodospady z punktu widokowego nie wyglądają za dobrze. Pierwsza sprawa to w górze rzeki jest teraz tama i przez wodospady płynie bardzo mało wody (widzieliśmy na widokówce jak to wyglądało kiedyś). Druga sprawa to pora deszczowa, podczas której kolor wody na wodospadach na Nilu Błękitnym jest brązowy.

Z punktu widokowego obserwujemy ludzi, którzy są pod wodospadami. Chłopak z picciem mówi, że może nas tam zaprowadzić. Nie mówi jednak, że idzie się tam na około co zajmuje godzinę. Krajobraz, który widzimy po drodze jest rewelacyjny. Jednak przez to błoto zrywa mi się jeden pasek w sandałach. Po pewnym czasie dochodzimy to rzeki, która musimy przejść wplaw, bo nie ma mostu. Zastanawiamy się, czy nie wracać, bo rzeka jest szeroka a prąd silny, ale z pomocą miejscowych chłopaków przechodzimy na drugą stronę. Naszym pomocnikom dajemy długopis, cukierki i ciastka. Przed samym wodospadem zrywa się pasek w butach Magdy. Już wiemy dlaczego wszyscy miejscowi chodzą tu bez butów. My także idziemy teraz na boso. Pod głównym wodospadem robimy sobie zdjęcia i wracamy. Nie idziemy tą samą drogą, ale idziemy w górę rzeki, ponad wodospady, gdzie jest łódka, którą można przepłynąć przez Nil Błękitny. Przy łódce kupujemy od naszego towarzysza podróży picie (chce trzy razy drożej niż w sklepie, ale zapracował na te pieniądze) i przepływamy na drugą stronę. Stąd jest tylko kilkaset metrów na przystanek autobusowy w Tis Abay. Wodospady były takie sobie, ale ten dzień na pewno zapamiętamy z powodu wszystkich naszych przygód.

Gdy jesteśmy w Tis Abay akurat pojawia się autobus. Kilkadziesiąt osób leci w jego stronę. Nie wiemy za bardzo o co chodzi. Gdy przyjeżdżaliśmy niektórzy mówili, że zajmą nam miejsce w autobusie, ale stwierdziliśmy, że chcą nas oszukać. Teraz stoimy przed autobusem i widzimy jak wszyscy ludzie chcą wejść do autobusu, ale jest ich dwa razy więcej niż wolnych miejsc. Okazuje się, że jest lista i są wpuszczani po kolei ludzie z listy. Oczywiście nas nie ma na liście. Dowiadujemy się, że wszystko jest spowodowane tym, że ludzie wracają po przerwie noworocznej. Jednak zostajemy wpuszczeni poza kolejnością. Trzeba przyznać Etiopczykom, że są mili dla turystów. Kilka razy zostaliśmy także w Etiopii wpuszczeni na dworzec autobusowy przed otwarciem bramy, dzięki czemu mogliśmy znaleźć autobus i zająć sobie dobre miejsca.

Jesteśmy z powrotem w Bahir Dar o 14:00. Idziemy do hotelu po plecaki i szybko znajdujemy minibus do Gondaru (jest trochę ciasno, ale szybciej niż autobusem). Około 17:00 jesteśmy w Gondarze. Peryferia miasta wyglądają jak wielki plac budowy, gdzie buduje się dziesiątki czteropiętrowych bloków mieszkalnych. Tak wysoka zabudowa jest w Etiopii rzadkością. Gondar leży na drodze do gór Simien. Już tu jesteśmy na wysokości około 2000 mnpm i czujemy zimne, górskie powietrze. Znajdujemy hotel i idziemy szukać restauracji. Oczywiście wszędzie jest indżera, ale trudno znaleźć coś europejskiego. Po drodze wступujemy do cukierni (pastry), w której pijemy sok z avocado i guavy. W końcu znajdujemy bardzo ładną, ekskluzywną restaurację, gdzie jemy lasagne i kitfe (etiopska potrawa, rodzaj mielonego mięsa). Dla Etiopczyków jest to droga restauracja, ale dla nas jest tu bardzo tanio.

14.09.2005, środa, Gondar

Dzisiaj mamy dużo czasu, więc idziemy sobie na śniadanie (dwa omlety). Później idziemy do informacji turystycznej. Mieliśmy już w Etiopii przypadki, że kobieta z IT nie mówiła wcale po angielsku, ale ku naszemu zaskoczeniu, obsługa w Gondarze mówi dobrze po angielsku. Następnie idziemy do Debre Birham Selasie Church (około 2 km od centrum). Kościół otoczony jest murem z półokrągłymi wieżami, które są charakterystyczne dla Gondaru. Mury pokryte są mchem. Jest tu bardzo cicho i spokojnie. Czujemy jakby tu nic się nie zmieniło od setek lat.

W drodze powrotnej wступujemy do cukierni na soczki, które nam wczoraj bardzo smakowały. Dzisiaj zamawiamy sok mix z ananasa, guavy i avocado oraz sałatkę owocową. Soki są bardzo tanie (w przeliczeniu około 1 zł) a na pewno dużo zdrowsze niż coca-cola czy inne sztuczne napoje. Do końca podróży w Etiopii będziemy codziennie chodzić na różne soczki.

Główną atrakcją Gondaru jest Royal Enclosure. Dostajemy przewodnika, który bardzo dobrze mówi po angielski a także rozpoznaje, że mówimy po polsku. Przewodnik opowiada nam o historii Etiopii i tutejszych budowli. W dużym skrócie, Gondar był stolicą i każdy król Etiopii chciał po sobie coś zostawić (to tak jak z piramidami w Egipcie), stąd jest tu kilka zamków i innych budowli jak amfiteatr. Nagle niebo robi się czarne i zaczyna padać deszcz. W końcu jest tu koniec pory deszczowej. Zrobiliśmy kilka zdjęć i idziemy na dworzec autobusowy. Okazuje się, że dzisiaj nie ma szansy na autobus w kierunku Lalibeli, więc musimy jechać jutro rano. Postanawiamy przeprowadzić się do hotelu bliżej dworca autobusowego. Znajdujemy hotel, do którego wieczorem przyniesiemy plecaki. Znowu przechodzimy koło Royal Enclosure, więc wchodzimy zrobić lepsze zdjęcia, ponieważ pogoda jest dużo lepsza. Spotykamy Amerykanina z żoną, z którymi pływaliśmy łódką po jeziorze Tana. Oni przylecieli tu samolotem, ale na tak krótki dystans to im się nie opłacało. Ostatnią atrakcją w Gondarze jest Fasildas Bath (zwany też Fasil's Pool), czyli łaźnie. Jest tam około 2 km z centrum, ale okazuje się że łaźnie czasy świetności mają dawno za sobą i nic ciekawego tu nie ma. Gdy wracamy znowu zaczyna padać, więc łapiemy minibus (tylko 30 gr). Dzisiaj zasłużyliśmy na dobry obiad, więc idziemy do naszej wczorajszej restauracji (tym razem spaghetti + pasta al forno). Później przenosimy się do nowego hotelu. Etiopia słynie także z charakterystycznych krzyży. Kupujemy 24 małe krzyże, które będą naszymi prezentami z Etiopii. Zakupy w Gondarze są bardzo dobrym pomysłem, bo jak się spodziewaliśmy Lalibela jest dwa razy droższa.

15.09.2005, czwartek, Gondar->Gaint (km 13000)

Wstajemy wcześnie rano po bardzo źle przespanej nocy, czego powodem jest brak budzika. Komórka, która była naszym budzikiem jest zablokowana. Wczoraj wieczorem próbowaliśmy pożyczyć budzik, ale ciężko było się dogadać. Skończyło się, że obiecali nas rano obudzić, ale oczywiście nikt nas nie obudził.

Wychodzimy z hotelu i widzimy kilkunastu bezdomnych śpiących na ulicy, jeden przy drugim. Równie o 5:00 jesteśmy na dworcu autobusowym. Widząc białych, wpuszczają nas do środka. Inni zostają wpuszczeni o godzinie 5:30, która okazuje się tutejszą porą otwarcia dworca autobusowego. Okazuje się, że autobus do Gaint (kierunek Lalibela) jest pełny. Następnym jest jutro, ale my jedziemy do Debre Tabor, gdzie mamy szansę złapać autobus z Bahir Dar lub Addis Adaby do Gaint. Podróż do Gaint jest jedną z najmniej przyjemnych, bo ludzie w autobusie wyjątkowo śmierdzą. Przyzwyczailiśmy się, że higiena w Etiopii nie jest na najważniejszą sprawą, ale ten autobus jest straszny. Pod koniec drogi do Debre Tabor zostajemy wyprzedzeni przez dwa autobusy do Gaint. Na szczęście czekają one na nas na dworcu autobusowym w Debre Tabor. Od Gaint podróżujemy z Joshuą — mężczyzną jadącym do Lalibeli, z którym teraz przesiadamy się do autobusu z Addis Ababy, który jest większy i przez to niby lepszy (mocniejszy). Chwile później pojawia się jeszcze trzeci autobus, z Gonderu. W Gaint jesteśmy koło 15:00. Kupujemy na jutro bilet do Gasheny, z której jest już bezpośredni autobus do Lalibeli. Płacimy jednak za bilet do Woldii, który jest 5 birrów (około 2 zł) droższy, ponieważ kierowca nie chce sprzedać biletu na krótszy dystans i możemy zostać jutro bez transportu (następnego dnia okazuje się, że było to niepotrzebne). Znajdujemy hotel i idziemy z Joshuą do restauracji. Joshua pomaga nam w zamówieniu obiadu, czyli tym razem omletu i gotowanego mięsa. Po obiedzie idziemy na spacer a później wcześnie spać, żeby odespać wczorajszą, nieprzespaną noc.

16.09.2005, piątek, Gaint->Lalibela (km 13150)

Tej nocy spaliśmy lepiej, bo wiedzieliśmy, że cały nasz hotel jedzie rano autobusem. Obudziliśmy się przez hałasy, ale Joshua, zgodnie z naszą prośbą, także przyszedł nas obudzić. Po samym jego ubraniu widać, że jest lepiej sytuowany, bo ma dobrą pracę. Powiedział nam, że cała rodzina zbierała pieniądze, żeby on mógł zdobyć dobre wykształcenie a później dobrą pracę. Teraz jego obowiązkiem jest wspomaganie finansowe rodziny.

O 6:00 wyjeżdżamy autobusem i trzy godziny później jesteśmy w Gashenie. Asfalt skończył się koło Debre Tabor i do Lalibeli go już nie będzie. Około godziny czekamy na autobus, który jedzie z Woldii do Lalibeli. Okazuje się, że autobus jest pełny. Dobrze, że pozwalają nam podróżować na stojąco, co nawet w Etiopii jest nielegalne. Jednak musimy zapłacić 5 birrów (2 zł) więcej niż za miejsca siedzące :) Nie jest to jednak cena dla turystów, bo wszyscy tak płacą. W autobusie spotykamy pierwszych turystów podróżujących autobusem po Etiopii. Jest ich aż pięciu, podróżują razem a spotkali się w Etiopii (dwoje Izraelczyków, dwóch Niemców i Hiszpan).

Około 14:30 jesteśmy w Lalibeli. Zostawiamy plecaki w kawiarni. Magda i Toya (Żydówka) szukają dla nas hotelu. Bierzymy aż 4 pokoje, więc dostajemy dobrą zniżkę. Nie chcemy marnować dnia, więc około 16:00 wychodzimy na wycieczkę do kościoła Ashetan Maryam. Droga jest bardzo trudna, bo musimy wejść z wysokości 2600 mnpm (Lalibela) na 3150 mnpm. Są tu dwa kościoły. Jeden jest zamknięty, więc klócimy się, żeby wejść za połowę ceny, bo bilet jest na dwa kościoły. W środku nie jest za bardzo ciekawie, najciekawszy jest 900 letni krzyż. Oglądamy jeszcze panoramę i schodzimy w dół. W połowie drogi się ściemnia, bo za późno wyszliśmy, ale dochodzimy do Lalibeli bez problemu. Hiszpan nie poszedł z nami, ponieważ źle się czuje. Niemcy i Izraelczycy też mówili, że chorowali w Etiopii. My także od Etiopii zaczęliśmy mieć problemy zdrowotne. Później idziemy jeszcze w grupie do restauracji na spaghetti.

17.09.2005, sobota, Lalibela

Dzień zaczynamy od śniadania w restauracji. Wszyscy zamawiamy w restauracji omlet. Niemcy i Izraelczyk zaczęli uczyć się amaryckiego i znają podstawowe zwroty. Pomaga im to w uzyskiwaniu normalnych cen, zamiast cen dla turystów. Kobieta chce 7 birrów za omlet, ale oni targują się na połowę ceny. Zauważamy, że oni mocniej targują się niż my, co jest dla nas sporym zaskoczeniem, bo zazwyczaj turyści akceptują ceny bez targowania. Szczególnie dotyczy to turystów z bogatych krajów. Na omlet czekamy około godziny. Okazało się, że kobieta musiała pójść do sklepu po jajka. Zamiast omletu dostaliśmy jajecznicę, ale była bardzo dobra.

Lalibelę zaczynamy zwiedzać od północnej grupy kościołów. Zwiedzamy po kolei Bet Medhane Alem, Bet Maryam, Bet Meskel, Bet Danaghel (na górze), Bet Golgotha, Bet Mikael i Selassie Chapel. Później idziemy do najbardziej znanego i najpiękniejszego kościoła, czyli Bet Gigorgis, ale jest zamknięty. Od 12:00 do 14:00 kościoły są zamknięte, więc idziemy na pobliski targ. O 14:00 rozpoczynamy oglądanie wschodniej grupy kościołów: Bet Amanuel Merkorios, Bet Abba Libanos, Bet Gabriel Rufael. Później udajemy się po raz drugi do Bet Gigorgis. Po drodze spotykamy po raz drugi Amerykanina z żoną (z łódki na jeziorze Tana). Widzimy też kilkunastu starszych turystów z Australii, którzy są tu na zorganizowanej wycieczce.

Po zwiedzaniu odłączamy się od grupy i idziemy do restauracji Blue Nile na pizzę i gotowane warzywa. Pizza jest dobra, choć nie ma na niej sera żółtego, tylko musieliśmy na nią czekać 45 minut. Później czekamy z grupą na autobus z Addis Ababy. Przyjeżdża dopiero po 18:00 a my kupujemy bilet do Addis Ababy (podróż trwa dwa dni).

Zawsze biorę za sobą najgorsze rzeczy, które można wyrzucić, ale w Afryce nic nie wyrzucałem, bo czytałem w relacjach z Etiopii, że turyści oddają swoje niepotrzebne rzeczy miejscowym. Dzisiaj jeden chłopak prosił nas o podkoszulek. Powiedziałem mu, żeby przyszedł wieczorem do hotelu. Przyszedł i dostał koszulkę z polskim napisem „Bez tej koszulki też nieźle wyglądam”. Chciałbym zobaczyć minę jakiegoś Polaka, który spotka etiopskiego chłopaka w tej podkoszulce :)

18.09.2005, niedziela, Lalibela->Dese (km 13450)

Wstajemy zbyt późno i jesteśmy o 5:15 na dworcu autobusowym. Dlatego mamy kiepskie miejsca z tyłu autobusu. Po drodze mamy przystanek w Gashenie, gdzie pijemy herbatkę i jemy śniadanie. Świeże bułki można wszędzie w Etiopii kupić w restauracjach (a raczej jadłodajniach, bo nie są to restauracje naszych standardów). Dodatkowo wozimy ze sobą masło orzechowe i serki topione w kostkach, które są naszym śniadaniem. W tym czasie w naszym autobusie zmieniają koło, które nie wytrzymało trudów podróży. Następny przystanek jest w Woldii, gdzie pijemy świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy (tani i bardzo dobry, to nie to co sok z kartonu). Droga, którą jedziemy od Lalibeli, prawie na całej długości nie ma asfaltu.

Już się ściemnia, gdy dojeżdżamy do Dese. Wszystkie hotele, do których idziemy są prawie pełne. Znajdujemy hotel, który jednak jest dość daleko od dworca autobusowego. Niemcy i Izraelczycy idą na internet a my chcemy coś zjeść. W Dese nie ma jednak żadnej restauracji z europejskim jedzeniem. Jest tu za to kilka kawiarni na jednej ulicy. W jednej z nich smażą frytki, więc kupujemy frytki i nasze ulubione soczki.

19.09.2005, poniedziałek, Dese->Addis Ababa (km 13900)

Kolejny dzień, w całości spędzony w autobusie. Na dworcu autobusowym pojawiają się o 5:00. Jesteśmy tylko z Niemcami i Hiszpanem, ponieważ Izraelczycy zostali, bo Ofir się rozchorował. Ja i jeden z Niemców zostajemy wpuszczeni na dworzec. Inni stoją dalej wejścia i muszą czekać do 5:30 na otwarcie bram dworca. Zajmujemy dobre miejsca w autobusie (między kołami, gdzie najmniej trzęsie). Nagle słyszymy wielki krzyk, jest 5:30 i bramy dworca autobusowego zostają otwarte. Setki ludzi wbiega na dworzec i kieruje się w stronę swoich autobusów. Skąd oni wiedzą, który autobus jest ich, pozostaje to ich słodką tajemnicą. Wyjeżdżamy jak zwykle około 6:00. Tym razem nie ma po drodze przystanku śniadaniowego i nie mamy gdzie kupić świeżego pieczywa. Na

przystanku obiadowym zamawiamy spaghetti. W wolnym czasie rozwiązuje sudo-ku, które poznałem dzięki Jorge (Hiszpanowi). Droga do Addis Ababy to mieszanka asfaltu i brak asfaltu. Jeden z odcinków był rewelacyjny, nowy, równy asfalt (droga sponsorowana przez Unię Europejską). Około 17:00 jesteśmy w stolicy. Na peryferiach miasta jest jeszcze kontrola policyjna, podczas której wszyscy pasażerowie muszą wysiąść. Jorge ma plecak w środku autobusu i wysiada w centrum miasta. My musimy dojechać do końca, ponieważ nasze plecaki są na dachu autobusu. Następnie jedziemy z Niemcami minibusem do centrum. Niemcy prowadzą nas do hotelu, w którym już byli wcześniej. Później zabierają nas do swojej ulubionej pizzerii w stolicy Etiopii oraz do miejsca, gdzie robią soczki ze świeżych owoców.

20.09.2005, wtorek, Addis Ababa

Przedostatni dzień naszej wyprawy postanawiamy spędzić na zwiedzaniu stolicy. Wczorajsze soczki nam tak smakowały, że idziemy napić się soczków na śniadanie. Później jedziemy minibusem do National Museum. Można tu oglądać kości najstarszego odkrytego człowieka na świecie, czyli mającą 3.2 mln lat Lucy. Lucy ma tylko 110 cm i tylko 40% szkieletu pochodzi z wykopalisk, reszta jest dorobiona. Następnie jedziemy do Entoto, czyli wzgórz dookoła Addis Ababy. Musimy tam jechać trzema autobusami, bo nie ma bezpośredniego dojazdu. W Entoto oglądamy Entoto Maryam Church, przy którym znajduje się Menelik Museum. Na początku jesteśmy sceptyczni co do kolejnego muzeum, ale się okazuje bardzo interesujące i dużo lepsze od Muzeum Narodowego. Menelik II był jednym z królów Etiopii. W środku znajdują się prezenty z całego świata podarowane Menelikowi, jego ubrania, korony i dużo innych ciekawych rzeczy. Przed powrotem do centrum idziemy jeszcze pieszo do Kidus Raguel Church oraz do miejsca, z którego widać panoramę Addis Ababy. W centrum idziemy na zupę i pizzę do pizzerii, w której byliśmy wczoraj. Później spacerujemy po mieście. Dzień kończymy świeżymi soczkami owocowymi, których nam będzie brakować w Polsce (też są, ale droższe i z innych owoców).

21.09.2005, środa, Addis Ababa->Frankfurt->Poznań

Rozpoczyna się ostatni dzień naszej 7 tygodniowej wyprawy do Afryki. Na początku oddaje bezdomnym spodnie, koszulę i piżamę, które normalnie bym wyrzucił, ale tu się ludziom jeszcze przydadzą. Następnie idziemy na śniadanie. Przez cały nasz wyjazd staraliśmy się nie robić zakupów, ponieważ przeszkadzałyby one w podróżowaniu. Dzisiaj mamy cały dzień na zrobienie zakupów. Jedziemy do Merkato, który podobno jest największym targiem we wschodniej Afryce. Okazuje się, że nie jest to targ na wolnym powietrzu, ale setki a może tysiące małych sklepików. Targ jest rzeczywiście duży i spędzamy tam około 5 godzin. W tym czasie orientujemy się w miejscowych cenach i kupujemy dwie podkoszulki, dwa ręcznie robione talerze na owoce i trzy koszyki. Nie możemy tylko znaleźć płyty CD z piosenkami Teddiego Afro. Płytkę kupujemy w centrum, w sklepie muzycznym. Przeplacamy 5 birrów (2 zł), ale na targu mieli porysowaną. Na koniec idziemy na soczki, bierzemy plecaki z hotelu i jedziemy minibusem na lotnisko. Chcieliśmy być przed zachodem słońca i nam się udało. Lotnisko jest nowe i wygląda lepiej niż Okęcie. Jednak samolotów lata tu bardzo mało, kilkanaście dziennie a większość z innych etiopskich miast. Po 20:00 nadajemy nasze plecaki i wchodzimy do strefy bezcłowej. Nie był to dobry pomysł, ponieważ nic tu ciekawego nie ma a herbata kosztuje 1\$ (zwykle płaciliśmy 20-40 groszy). O 22:50 wylatujemy do Frankfurtu, skąd lecimy dalej do Poznania.